

Eutanazja (str. 2-3); Co można zrobić w polskim sporcie (str. 4-5); Pomnik Piłsudskiego w Urzędowie (str. 4-5); Ostatnia walka i rozbrojenie 27 Wołyńskiej Dywizji AK (str. 6-7); Gwałt (str. 14)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 17 (915)

21 sierpnia 1988

Cena 35 zł

Większy przepis na domek

Ireneusz J. Kamiński

JESTES przeciętnym człowiekiem, któremu nieoczekiwany spadek do stryju spod Goraja otworzył o to szansę na wprowadzenie się z hałaśliwego bloku OWT do własnego domku jednorodzinnego.

Posiadasz już typowy projekt takiego szczęścia, pozwolenie na budowę, kosztorys ogólny i trochę materiałów. Teraz oczywiście potrzebujesz kredytu bankowego. Idziesz więc do Oddziału I PKO przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie, gdzie twoim zdumionym oczom ukazuje się kolejka bódaj czterdziestu takich jak ty miłośników psychofizycznej autonomii pod koper-towym dachem.

Obywatelski ped do kredytów budowlanych okazuje się imponujący. W pierwszym półroczu bieżącego roku ich wielkość finansowa przekroczyła to, co w sumie skierowano na ów cel w minionych trzech latach. Należy przy tym wiedzieć, że o takich proporcjach tylko w ograniczonym stopniu zdecydowała ogólna zwyżka cen.

Ludzie chcą się budować. W województwie wzrósł się obecnie około

6000 domów jednorodzinnych, z czego połowę w miastach, a 1300 w samym Lublinie. Są to obiekty pojedyncze, bliźniacze, łączkowe i szeregowo, określane przez planistów i administrację wspólną nazwą „mieszkalnictwo niskie jednorodzinne” (MNJ) dla osób fizycznych.

A gorączka budowlana opanowała ludzi i dlatego, ponieważ od dłuższego czasu obowiązują dogodne warunki zaciągania odpowiednich kredytów, które jako tzw. podstawowe przyznawane są na pokrycie znacznej części kosztów budowy powierzchni użytkowej domu, nie przekraczającej wszakże 95 m kw.

O takie właśnie kredyty ubiegają się inwestorzy z grupy MNJ.

I ty do nich należysz.

Czekasz cierpliwie w kolejce i na marginesie „Trybuny Ludu” lub „Rodziny Katolickiej” kolejny raz obliczasz:

$$95 \times 62.500 = 5.937.500 - 1.187.500 = 4.750.000 \text{ zł.}$$

Podkreślasz tę ostatnią liczbę: 4.750.000 zł.

Co znaczy ta matematyka?

95 — kredytowane metry kwadratowe powierzchni użytkowej twojego przyszłego domu, 62.500 — aktualny na Lubelszczyźnie, złotówkowy koszt urzędowy metra owej powierzchni, 5.937.500 — iloczyn dwóch pierwszych liczb, czyli wysokość kredytu, 1.187.500 — dwudziestoprocentowa kwota wkładów własnych inwestora, obliczona w relacji do poprzedniej sumy, 4.750.000 — realny, czysty kredyt, który otrzymasz w banku.

Odsetki od kredytu podstawowego są niskie (3 proc.), spłacanie rozpoczynasz po trzech latach od momentu jego podjęcia i ciągniesz przez 40 lat, w rytmie kwartalnym, konkretnie mówiąc — co trzy miesiące oddajesz wierzycielowi w sumie około 40.000 zł, co trudno uznać za uciążliwe dla twojego budżetu. Po prawdzie, to jeszcze długo przed uiszczeniem ostatniej spłaty kompletnie stracisz zainteresowanie dla całej sprawy, albowiem umrzesz, w ostatnim przeblysku świadomości przekazując domek i długi swoim te-

Dokończenie na str. 12—13

Normana Daviesa konotacje polskie

Piotr Beck

„Polacy mogą ze zdziwieniem i w niemalym poczuciu dumy spoglądać na niezwykle wypadki, które pozwoliły im przetrwać, a czasami nawet rozkwiatać, w obliczu otaczającej ich nienawiści. Biorąc pod uwagę trzechsetletnią walkę Polaków o przetrwanie, byłoby rzeczą niewłaściwą ocenianie ich wyłącznie według kryteriów światowego sukcesu. Bawiem Polska, w swym zwykłym stanie «ustabilizowanej klęski», nie jest po prostu jednym z europejskich krajów, doświadczonych przez wojnę i obciążonych problemami powojennego przystosowania się. Dla każdego, kto zna jej historię, Polska jest czymś więcej. Jest ona składnicą idei i wartości, które zdolne są przetrwać wiele militarnych i politycznych klęsk. Polska nie daje gwarancji, że jej poszczególni obywatele przestrzegają będą tych ideałów, niemniej pozostaje ona trwałym symbolem moralnego celu w europejskim życiu”.

Norman Davies zatytułował swoją historię Polski — *Boisko bogów* (God's Playground). Wyjątkowa to publikacja w światowej historiografii dotyczącej naszego kraju. Na ponad tysiąc stronicach zwartego druku zebrał brytyjski naukowiec ogromny materiał faktograficzny, poklasyfikował i uporządkował nasze dokonania i porażki, zinterpretował niezliczone statystyczne dane, wyposażył czytelnika w ogromny arsenał praktycznej wiedzy, a jednak na tych samych tysiącach stronicach stoczył nie rozstrzygniętą do końca walkę o skomentowanie przedmiotu swoich dywagacji. Chłodne „szkiełko i oko” historyka co chwila rozmazywało się gdzieś w krainie fantasmagorii, łamały się wcześniej przyjęte wnioski, fałszywie brzmiały dokonane już syntezy.

Nie miałoby sensu przybliżanie tej książki (a właściwie księgi) polskiemu czytelnikowi, gdyby miała ona jedynie podtrzymać nasze chorobliwe przesądzenia o „polskim mesjanizmie”. Syntetyczne dywagacje Normana Daviesa mają zgola inne podłoże. Bliższe są choćby ogólnoeuropejskiej zadumie nad brytyjskim ekscentryzmem, niemieckim ponuractwem czy francuską niefrasobliwością — dostrzegają Polskę jako coś indywidualnego i kompleksowego, co w swej złożoności, jak samo życie, trudne jest do pochwylenia bez udziału uczucia.

Davies nie kreuje Polski na „Chrystusa narodów” ani na wyłączną nadzieję zdemoralizowanego świata. Dostrzega jednak jej odmienną, ciekawą jej losów, jej ważny wkład w świat jeszcze kruchą konstrukcją „europejskiego domu”. Dysponując koniecznym oddaleniem, ogromną porcją naukowej bezstronności — odkrywa pew-

Dokończenie na str. 6—7



Fot. Cezary Krupa

Siedmiogród

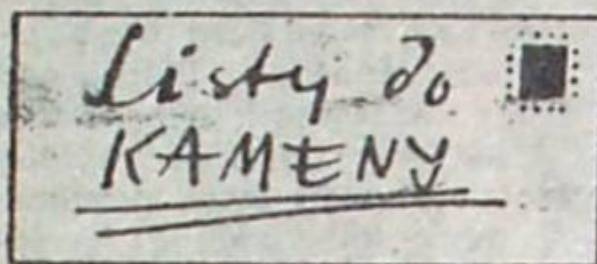
W zamkniętym łańcuchu górskim Siedmiogrodzie mieszka jedno z najbardziej zróżnicowanych społeczeństw w Europie. Wśród Rumunów żyje liczna mniejszość węgierska i ok. ćwierć miliona Niemców obok niewielkiej liczby Żydów i wzrastającej liczby Cyganów. Nie są to osiedleńcy świeżej daty. Węgry żyją tam od X w., zaś Niemcy zaczęli osadnictwo w XII w. i kontynuowali migrację do XV w. Pytanie, czy Rumuni byli tam przed Węgrami, stanowi przedmiot dyskusji akademickiej, o wyraźnych motywach politycznych.

Kulturowe zróżnicowanie Siedmiogrodu stanowi dla rozumniejszych mieszkańców coś w rodzaju radosnej tradycji tego kraju, bowiem [...] poszczególne narodowości i religie współżyły ze sobą zupełnie dobrze. Długotrwałe osadnictwo tej ludności pozostawiło swe piętno na tym obszarze. Siedmiogród nie jest bogaty w wielkie zabytki. Istnieją ładne kościoły gotyckie w trzech głównych miastach: Klużu, Sybinie [po rumuńsku: Sibiu] i Braszowie, ale Sybin bardziej słynie z rodzimej architektury, absolutnie centralnoniemieckiej, dzięki której miasto wygląda jak mała Norymberga, nietknięta przez wojnę i położona 500 mil od miasca, gdzie powinna się znajdować. Jednak szczególne bogactwo Siedmiogrodu to owe wioski [...].

Najlepsze z nich to wioski niemieckie, zakładane głównie w średniowieczu i w wieku XVI. Okolone niewielkimi chłopskimi fortyfikacjami, lub wyróżniające się ufortyfikowanym kościołem (zwykle luteranckim), składają się na ogół z dwóch — trzech uliczek i czworoboku domów z wapienia w pastelowych kolorach. Gdyby nie spadły dach kościoła i wieża ciśnień, można byłoby pomyśleć, że to małe stare miasteczko w Minnesocie lub Nebrasce.

Aczkolwiek żadna z tych wiosek sama w sobie nie jest warta podróży do Rumunii, jako całość stanowi jeden z mniej znanych skarbów kultury europejskiej, porównywalny powiedzmy z kościołami parafialnymi wschodniej Anglii. Stanowią jeden z najstarszych ocalałych przykładów pionierskiego i przygranicznego osadnictwa w Europie. Jakimś cudem nie uległy zniszczeniu podczas II wojny światowej. Zniszczenie ich teraz byłoby tragedią.

Z artykułu Johna Porteousa w „The Independent” (2 sierpnia)



„Poprawa klimatu”

Z zainteresowaniem przeczytałem wywiad przeprowadzony przez p. red. Horabik z panem ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym St. Zj. Ameryki Północnej w Polsce („Kamena” nr 16). Słowa uznawane dla redakcji za podjęcie interesującego tematu, tym bardziej, że któryś to już kolejny raz następuje poprawa (bardzo wolno) stosunków z tym ciekawym i pięknym krajem. Sądząc, że będę wyraził opinię wielu czytelników, którzy życzyliby sobie, aby poprawa, a następnie ugruntowanie przyjaźni między naszymi narodami nastąpiło bardzo szybko, z obopólną korzyścią. O tym, jakie miejsce zajmuje Polska w sercach Amerykanów, mówi pan ambasador.

Dla mnie osobiście wywiad pozostawił pewien niedosyt. Nie wiem, komu przypisać, że o pewnych sprawach w wywiadzie mówi się zbyt ogólnie lub w sposób, który jest znany z komunikatów oficjalnych i doniesień prasowych. Chciałbym wiedzieć np. (a sądząc, że j. ekscelencja p. John R. Davis wie), dlaczego prezydent R. Reagan, składając oficjalną wizytę w ZSRR, nie zatrzymał się w Polsce (a zrobił to w Helsinkach); była to, jak sądzą, ostatnia okazja, gdyż, jak wiadomo, dobiega końca kadencja prezydenta Reagana. Czy nie byłby to krok istotny w poprawie stosunków polsko-amerykańskich? Wiem, że jest to kwestia „wielkiej polityki”, ale mnie jako zwykłego obywatela i czytelnika ta akurat sprawa interesuje.

To, o co pyta pana ambasadora red. Horabik, jest mi znane z wcześniejszych doniesień z prasy i innych źródeł masowego przekazu. Chociażby sprawa wiz. Sam doświadczyłem na sobie, jak to wygląda praktycznie. Nie ulega wątpliwości, że Ambasada St. Zj. zatrudnia w swoje placówki w Warszawie ludzi inteligentnych, którzy po krótkiej rozmowie potrafią odczuć, kto z naszych obywateli, wyjeżdżając do USA, jedzie tam w celach zarobkowych lub turystycznych. W moim przypadku, niestety, pracownik Ambasady, który zamienił ze mną parę uprzejmych zdań, nie potrafił trafnie ocenić celu mojej niedoszłej podróży do USA. Mam tam rodzoną siostrę, która mieszka w USA od lat. Nawet w prywatnej korespondencji z nią nie poruszałem nigdy spraw zarobkowych, gdyż moja sytuacja materialna w PRL jest dobra. Chciałem po prostu zobaczyć się z siostrą, gdyż, jak dotąd, dla niej przyjazd do PRL jest jeszcze zbyt kosztowny (być może ciągle oszczędza). Nie potrafiłem jednak przekonać o faktycznym powodzie mojego wyjazdu do USA pracownika

konsulatu USA w Warszawie. Być może, gdybym miał więcej czasu na rozmowę, wakacje spędziłbym w USA, a tak kończy mi się ważność zaproszenia, i nie wiem, czy siostra zdecyduje się wysłać następne.

Nie podaję tutaj krytyce sposobu załatwiania interesantów w Ambasadzie USA w Warszawie. Na pewno jest siusznym, bo niestety wiele osób wyjeżdża tam, aby sobie popracować, i nie zawsze to przysparza nam chwały. Mnie osobiście było bardzo przykro, że zostałem tak zrozumiany.

Wracając do wywiadu, nie dowiedziałem się z niego także, jakie konkretnie przeszkody stoją na drodze poprawy stosunków między naszymi krajami — podejrzewam, że p. Horabik po prostu nie pytał o to pana ambasadora.

To tylko parę zasygnalizowanych spraw, które złożyły się na moje przekonanie, iż wywiad z p. ambasadorem USA w Warszawie mógłby być ciekawszy. Niemniej jestem pełen uznania dla redakcji za podjęcie ciekawego tematu. (Wcześniej był wywiad z korespondentem prasy amerykańskiej). Tym większe uznanie, że „Kamena” jako pierwsza podejmuje ciekawe tematy.

Z poważaniem
Jan Pieczonka
Lublin

Co robi Sławek?

Jeden z czytelników przysłał nam jako ciekawostkę cytaty z amerykańskiej prasy:

„Wyglądał jak typowy amerykański nastolatek, ale chłopiec, oglądający gimnastyczne pokazy na Uniwersytecie New York State w Buffalo, to Sławek Wałęsa, piętnastoletni syn przywódcy polskiej „Solidarności”, Lecha Wałęsy. Przebywa on w Stanach Zjednoczonych z dwumiesięczną wizytą” — donosi „International Herald Tribune” w rubryce „People” (Ludzie).

Coś nam się zdaje, że Sławek Wałęsa nie miał takich problemów z otrzymaniem wizy jak pan J. Pieczonka.

„Więcej luzu, panowie!”

Czytając „Kamena” (nr 14) z artykułem „Więcej luzu, panowie!” „redaktora” Piotra Becka, który porusza nazwy klubów, dowiedziałem się, że: „Bywają wszak nazwy niepojęte, jak choćby Lutnia Chotyłów czy Promnik Łaskarzew”. Jeśli Promnik Łaskarzew jest „niepojęty”, to może Pan powie temu „korespondentowi”, by przeczytał sobie Wielką Encyklopedię Powszechną lub Małą Encyklopedię Powszechną lub przejrzał mapy Polski i tam będzie „Promnik”, który jest rzeką, a przebiega przez Łaskarzew. Wtedy na pewno będzie pojęte, skąd taka nazwa klubu.

Łączę pozdrowienia
J. Wiech
Łaskarzew

Giuliano Ferrieri w tygodniku EUROPEO zajmuje się nader ważnym i dyskusyjnym problemem: eutanazją. Przytacza opinie znanego we Włoszech doktora Giorgio Concianiego, zwolennika eutanazji, przedstawia etyczny punkt widzenia problemu oraz opinie polityków. Fakt jest, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat problem eutanazji jest dyskutowany przez różne kręgi na Zachodzie. Istnieje nawet w kilku krajach europejskich stowarzyszenie osób, które zobowiązują się i zobowiązują innych do zastosowania eutanazji w stosunku do nich, gdyby zapadli na ciężką i nieuleczalną chorobę. Robią to w imię prawa „do godziwej śmierci”.

NAWET Jezus wołał na krzyżu, błagając ojca, aby skrócił jego męczarnie. „Prosił mnie, abym im pomógł umrzeć — mówi doktor Giorgio Conciani. — Zrobiłem to. Uważam, że to też wchodzi w zakres zawodu lekarza”.

Triesteńczyk Giorgio Conciani na stałe mieszka we Florencji, gdzie ma dom i gabinet w miejscowości Girone. Jego nazwisko nie jest nieznanne w kronikach gazet. W kilku wielkich bataliach obywatelskich, jakie wygrał nasz kraj — rozwój, przerywanie ciąży, kontrola urodzin — doktor Conciani był zawsze obecny i zawsze płacił. Jako specjalistę-ginekologa, na początku lat siedemdziesiątych oburzyła liczba kobiet, które umierały wskutek skrobańek robionych przez znachorki za pomocą drutów i pietruszki; młodym kobietom, które nie chciały ciąży, otworzył drzwi swojej kliniki w centrum Florencji, opiekował się nimi i jawnie je operował.

Trzykrotnie go aresztowano (prawie rok przebywał w więzieniu) i chociaż przerywanie ciąży przestało być przestępstwem po wejściu w życie ustawy legalizującej je, na nim — w odstępie trzynastu lat — ciążyło nieprawdopodobne oskarżenie „stowarzyszenia w celu przestępstwa”. Conciani pracował dla CISA, Włoskiego Ośrodka Sterylizacji i Przerywania Ciąży, instytucji pełnej parlamentarzystów, i sądownictwo jeszcze nie chciało — albo nie mogło — uzyskać z parlamentu zezwolenia na działanie.

W 1982 r. nowy proces Concianiego. Przeprowadzał sterylizację. Nie można było zastosować wobec niego 552 artykułu kodeksu karnego „spowodowanie niezdolności prokreacji” (kara od 6 miesięcy do 2 lat, ale ustawa o przerywaniu ciąży zniosła ten artykuł), wytoczono mu zatem proces o „ciężkie obrażenia” (kara od 6 do 12 lat). Uniewinnienie w pierwszej instancji, skazanie na rok przez sąd apelacyjny (tylko Birma, Turcja i Somalia uważają jeszcze sterylizację za przestępstwo). Conciani musiał czekać do r. 1987, aby sąd kasacyjny interweniował i anulował wyrok florenckiego sądu apelacyjnego.

A teraz eutanazja. Adele Faccio i inni wraz z nią założyli Związek Odpowiedzialnej Prokreacji, głoszący między innymi powstrzymanie się od wszelkiej „uporczywości lekarskiej” w stosunku do dzieci urodzonych w stanie ciężkiego inwalidztwa. W połowie kwietnia zostało to oficjalnie ogłoszone. Ale pewna dziennikarka dowiedziała się o tym wcześniej i zażądała od Faccio szczegółów. Ta odesłała ją do Concianiego po medyczne szczegóły (nie jest on członkiem Związku, ale „przyjacielem i konsultantem”). Oczywiście Conciani udzielił odpowiedzi. W dziennikach pojawiły się wielkie tytuły.

Czy doktor sam na siebie donosi? „Nie, spytano mnie o zdanie, a ja je, jak zawsze, podałem. Są przypadki — chociaż gazety piszą o „niezdrowym geście” — kiedy odebranie sobie życia jest jak najbardziej zdrowym odruchem osoby, która dokonała przemyślanego wyboru. Tak jak życie jest święte, równie święta powinna być śmierć. Czyż bowiem życie należy do społeczeństwa, a nie do jednostki?”

Życie i wybór świadomej jednostki, no właśnie, ale ten, kto nie może czy nie potrafi wyrazić woli, to znaczy noworodek lub osoba konająca? „Tu decyzja powinna wychodzić od „komitetów etycznych”, jakich pragną wszyscy, a które jeszcze nie istnieją we włoskich szpitalach, od grupy mądrych lekarzy, z psychiatrą włącznie, „sprawiedliwych”, mających długie doświadczenie zawodowe lub życiowe”.

Bierna eutanazja, czyli zawieszenie zbędnych zabiegów terapeutycznych, które nawet Kongregacja Nauki Wiary w zasadzie przyjęła w 1980 r. („zrezygnowanie z terapii, które byłyby jedynie słabym i bolesnym przedłużaniem życia biologicznego, jest zgodne z sumieniem”), czy eutanazja czynna, działanie na rzecz przyspieszenia zą-

danej śmierci, jak w głośnym przypadku Niemki, Ingrid Frank?

Conciani nie widzi zasadniczej różnicy między tymi dwoma zachowaniami i uważa eutanazję bierną za formę obłudy, w której lekarz „dokonuje czynu, ale chowa rękę”. Ponadto zwyczajne zawieszenie leczenia prowadzi do śmierci, ale nie sprzyja choremu. „Agonia wskutek braku działania lekarza może prowadzić do zgonu z wielu przyczyn, od biegunki po infekcję, i w takich przypadkach faza agonii trwa i może przedłużyć się na wiele dni”.

W takim przypadku lekarz nie dopełnił ostatniego, może najważniejszego z trzech dyktatów Hipokratesa („leczyć, kiedy to możliwe; zawsze pocieszać”). Do milczącego paktu między doktorem i pacjentem, który mu zawierzył, wchodzi — zdaniem doktora Concianiego — także ten ostatni bolesny obowiązek: pomoc czynna w śmierci, kiedy chory tego żąda. Eutanazja, tam, gdzie się ją stosuje, ma różne alternatywne formuły: zwłaszcza morfina, komatyczny stan insuliniowy, komatyczny stan barbituranowy, komatyczny stan z zastosowaniem preparatów toksycznych (kurara, cyjanek).

Ale jak wysokie dawki — z pewnością przeciwbólne — morfiny skracają życie to dla lekarza fałszywy mit. „Ewentualnie stosuje przedawkowanie heroiny” — mówi Conciani. Komatyczny stan insuliniowy może być długi i czasami powoduje skurcze (i cierpienie?). Barbituraty też mają niepewny skutek, wymioty mogą spowodować ich wydalenie i wyprowadzenie pacjenta ze stanu komatycznego. W Holandii zdeklarowany zwolennik eutanazji doktor Pieter Admiraal stosuje „komatyczny stan barbituranowy plus kurarę”.

„Zgadzam się — mówi Conciani (niechętnie, ale jest to człowiek, który nigdy się przed niczym nie chowa) — wolałbym jednak cyjanek: środki przeciwbólne plus cyjanek”.

Jednym ze słabych punktów debaty nad eutanazją jest to, że „co innego mówić o śmierci, a co innego umierać”. A jeżeli między pierwszą chwilą, a drugą chory zmieni zdanie? Przykład (autentyczne wydarzenie): pewna pani Amerykanka podpisuje świadomie living will, czyli testament życia. Gdyby nastąpiły pewne warunki, nakazuje lekarzom pozwolić jej umrzeć bez stosowania „uporczywego leczenia”. Potem ma wylew do mózgu, dokument zostaje przedstawiony, lekarze są „nieposłuszni” i leczą kobietę. Ona przeżywa i odzyskuje zdrowie. Pytają ją, co myśli o tym wydarzeniu, a ona odpowiada: „Gdyby mnie spytano w owej chwili, poprosiłabym o leczenie”.

Doktor Conciani? „Jest to zastrzeżenie, które ma duży ciężar, ale uważam, że nie mniej ważna jest odpowiedź, jakiej powinien udzielić lekarz. Znamy tego rodzaju przypadki i z góry oceniamy możliwości. Są eteciści, którzy nawracają się w ostatniej chwili życia. Właśnie tu, we Florencji, młoda pielęgniarka szpitalna (znam ją, nie byłem jej lekarzem) usiłowała popełnić samobójstwo, rzucając się pod pociąg. Teraz żyje bez kończyn dolnych, ale jest względnie pogodna, już nie myśli o odbieraniu sobie życia. Dusza ludzka jest nieprzenikniona i musimy być na to przygotowani. Nie zmienia to jednak problemu zasadniczego: ryzyko, że raz (na 100, na 10) lekarz, który pomaga pacjentowi, pomyli się, jest ceną, którą trzeba zapłacić za 99 czy 9 innych przypadków, w których osoba zwracająca się do doktora naprawdę skorzystała z jego pomocy z korzyścią dla siebie. Błąd jest rzeczą ludzką i musi być wliczony w rachunek. Nie upoważnia do odmowy pacjentowi”.

Dla kogo eutanazja?

Eutanazja jedynie dla umierających? Czy dla każdego, kto będąc bezpośrednio zagrożonym, odmawia dalszego życia tylko dlatego, że cierpi? Eutanazja także dla chorych umysłowo (świadomych jednakże i pragnących tego)? Tak w dwóch pierwszych przypad-

kach. Trzeci to problem trudny. Dotyczy na przykład ludzi z ciężką depresją, którym oczywiście jakoś tam pomagamy lekami, ale których skrajnie intensywne cierpienie osoba tak zwana normalna z trudem może zrozumieć.

Są to jednak chorzy, doktorze, których trudno nazwać „nieuleczalnymi”. To prawda, nie mamy tej pewności (ani odwrotniej, że ich wyleczymy) i nigdy jej nie będziemy mieli. Ponadto po zamknięciu szpitali i w braku wszelkich podstawowych badań psychiatrycznych w odniesieniu do wielkich liczb, nie wiemy prawie nic, co się dzieje z naszymi chorymi psychicznie. Aby określić uleczalność lub nieuleczalność ciężkich form chronicznej patologii depresyjnej, trzeba by zbadać statystyki, których nie ma: ilu wyleczono, a ilu pozostawiono ich dramatycznemu cierpieniu, jaka terapia jest skuteczna i po ilu latach? W tych przypadkach indywidualny lecący może nie wystarczyć, pragnienie chorego mogłoby zaspokoić Komitet Moralno-Lekarsko-Psychiatryczny.

A znów proponowana ustawa, która, jeżeli zostanie przyjęta, będzie dotyczyć jedynie eutanazji biernej... „Są w tym trzy punkty — odpowiada doktor Conciani. — Jeden, jaką można mieć z tego korzyść. Norma prawna zawsze

go chrześcijaństwa, podaje jako przyczynę społeczeństwa widowiska: „Eutanazja jest gwałtownym zerwaniem z życiem, odruchem o niemal heroicznym aspekcie, którego skutki rozpowszechniają środki przekazu. Jak to było niedawno, kiedy telewizja pokazała zdjęcia Ingrid Frank, 28-letniej Niemki, gdy polykała śmiertelną dawkę cyjanku”.

Ale istnieje może głębsza motywacja. Temat „łagodnej śmierci” jest tematem „być albo nie być” ostatnich lat, jednym z najbardziej splecionych węzłów debaty filozoficznej, dylematem, który podaje pod dyskusję podstawy tradycyjnej religijnej czy laickiej etyki. Problem niepokojący: kiedy się go rozważa, jest więcej pytań niż odpowiedzi.

Od epoki Pawła VI Kościół zajął wyraźne stanowisko. Bez zastrzeżeń potępia eutanazję czynną (to znaczy podawanie szkodliwych leków tak zwanym chorym konającym), pozostawia jednak płynny margines w odniesieniu do eutanazji biernej (czyli zaniechania leczenia przedłużającego cierpienia). Wyjaśnia to msgr. Bettazzi, biskup Ivrea: „Z punktu widzenia etycznego nie sprzeciwiam się. Odłączenie tlenu pacjentowi, którego elektroencefalogram jest płaski, oznacza uznanie śmierci, jaka już wcześniej nastąpiła”.

wa do śmierci jest słuszne i możliwe? Kto jest prawdziwym „bohaterem” w wyzwaniu przeciw wyniszczeniu fizycznemu: ten, kto nie poddaje się do końca, czy ten, który żąda dla siebie eutanazji? Czy istnieje pośrednia droga między „mercy killing”, zabiciem z łitości i zezwoleniem na śmierć? Giorgio de Mola, były redaktor, dziś wicedyrektor mediolańskiej Fundacji Floriani (mającej pomagać beznadziejnie chorym), jest przekonany, że istnieje odpowiedź na to ostatnie pytanie: „Naszą zasadą jest uwolnienie jednostki nie od życia, ale od cierpienia. Można wiele zrobić dla ulżenia cierpieniu fizycznemu bez skracania istnienia. My staramy się to robić w naszych dziełach ośrodkach w Lombardii, organizując akcję pomocy dla umierających”.

Jak poruszać się w labiryncie, w magicznym miejscu, w którym lustra deformują rzeczywistość? Jak można, przynajmniej w niektórych przypadkach, odróżnić eutanazję czynną od biernej, samobójstwo od „zezwalającego zabójstwa”? Niestety nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Enzo Mercurio, psychematyk i pisarz, odpowiada znany sobie przypadek: „Kilka dni temu pewien mój przyjaciel, za zgodą żony, został odłączony od tlenu. Był w niedwracalnym stanie

pro i kontra ewentualnego uregulowania prawnego „łagodnej śmierci”, towarzysząca dziesięciu latom (aż do 11 czerwca 1983 r.) stanu komatycznego Karen Ann Quinlan; stan komatyczny, który diagał się, dopóki sąd najwyższy USA o'e zezwolił na odjęcie rurki podłączanej do tchawicy.

Propozycja socjalistów występuje przeciw uprzejmości leczenia. Ale chadecja obawia się, że chce się (lub przynajmniej może) stworzyć klin do eutanazji „czynnej” lub nawet tierzej „pelzającej”, jak to określa Carlo Casini, deputowany europejski. Harold przeciwników przerywania ciąży: „Opuszcza się starców, chorych... Cała struktura publiczna wydaje się charakteryzować raczej brakiem niż nadmiarem opieki. Wydaje mi się, że ten problem też zajmuje się raczej nami niż innymi: nasza niedokładność znośzenia cierpienia bliźnich. W tym społeczeństwie, w tej walce — jeżeli się wywłaje — my, walczący o życie, będziemy zwyciężeni”. Flaminio Piccoli, przewodniczący Międzyrodówki Chrześcijańsko-Demokratycznej, zapowiada: „Będziemy bardzo surowi”. Leopoldo Elia, były przewodniczący sądu konstytucyjnego, minister oświaty Giovanni Galloni mówi: „Jest to bardzo złożony problem.

Prawo do godziwej śmierci

uspokaja i może być oparciem dla lekarzy (słusznie: nikt nie ma obowiązku być bohaterem) niezdecydowanych lub lekliwych. Drugi, będzie to w każdym razie ustawa nie wystarczająca. Tylko dla chorych dobiegających kresu, tylko przeciw uporczywości leczenia (której kodeks lekarski już zabrania). Trzeci, i to jest punkt zasadniczy, każda materia naukowa i sumienia może dotyczyć tylko lekarza i chorego. Ja wolałbym ustawę, która nie regulując tej materii, ustala jedynie wykluczenie eutanazji jako zabójstwa”. Z zagrożeniem wydania lekarzowi „prawa do zabijania?” „Już istnieją ustawy i regulaminy lekarskie, mogące kontrolować lekarzy niegodnych, którzy chcieliby kupczyć eutanazją”.

Ojciec jezuita, profesor Manuel Cujas, docent deontologii lekarskiej na uniwersytecie w Barcelonie, powiedział: „Dzisiaj medycyna za często broni nie człowieka, ale życia, wszelkiego życia. Tymczasem medycyna nie jest na usługę życia, ale człowieka”. Czy aprobuję pan to, doktorze Conciani? „W pełni. Zadaniem lekarza nie jest przedłużanie teoretycznego życia, ale tylko takiego życia, które ma jakość, sens. W odniesieniu do eutanazji krańcowej, „uratowania godności chorego” (jest to termin, który wielu ma pełne usta) oznacza także i to: wydobyć go jak z rozpustnego widowiska z agonicznych skurczów mięśni, z potworności cierpienia, które gwałcą godność. I są tylko zbędną torturą. Należą także do Amnesty International, która jest przeciwna karze śmierci (ja też jestem) i uważam za nieskończenie bardziej nie-ludzką torturę niż śmierć”.

Problemy etyczne

Rozmawiając kiedyś z dziennikarzem HERALD TRIBUNE, pewien amerykański producent trumien zdziwił się: „Czy to możliwe, żeby ludzie dawali zlecenia w sprawie swojego pogrzebu dopiero pod koniec życia i często nawet wtedy nie?” Ale to powszechne lenistwo, zdaniem wielkiego socjologa Norberta Eliasa, bardzo łatwo wytłumaczyć. Człowiek elektroniczny zapomina o śmierci i między sobą a myślą o końcu wznosi bariery mechanizmów obronnych. Pierwszą z nich jest złudzenie o swojej nieśmiertelności.

A przecież istnieje w tej regule jeden wyjątek: eutanazja. Mówią o niej dzienniki, dyskutuje się na spotkaniach, przeprowadza sondaże. Dlaczego? Co narusza do tego stopnia nasze obronne fantazje? Luigi Moraldi, docent języków semickich i literatury starożytnej

Mówi duchowny franciszkański Nazareno Fabbretti: „Czasami zdarzało mi się w konfesjonale wysłuchiwać ludzi, którzy oskarżali się, że pozwolili pacjentowi umrzeć, że nie zrobili wszystkiego, a nawet modlili się, żeby szybko umarł”. No i co? „Pozostaje jedynie podporządkować tę przerażającą odpowiedzialność prymatowi świadomości moralnej. Według doktryny katolickiej, Bóg też wybacza błędną decyzję podjętą w dobrej wierze”.

Jedno wydaje się pewne. Trudne jest poprawne podejście do tematyki tak złożonej, jeżeli nie bierze się pod uwagę zmian, jakie nastąpiły ostatnio w dziedzinie biomedycznej. Dziś nowe techniki pozwalają na terapię zdolną przesunąć granice życia, ale nie jakość życia. Zmienia się pojęcie choroby. Dawniej lekarz stwierdzał zgon, przykładając lusterko do ust pacjenta, aby zobaczyć, czy zaparowuje czy nie. Dziś w świetle rozwiniętych badań linia demarkacyjna między życiem i śmiercią nie jest tak wyraźna.

Rozważając ten nowy scenariusz, Paolo Martelli, dyrektor Politeia, specjalistycznego instytutu badań biologicznych, uważa, że nie można stosować rozwiązania obciążającego wyłącznie lekarza: „W pewnych zagadnieniach decyzja może przysługiwać jedynie zespołowi złożonemu z różnych specjalistów. Oczywiście lekarz powinien dostarczyć dane i sugestie, ale strategia interwencji w odniesieniu do chorych w ostatnim stadium powinna zależeć od biologa, prawnika, filozofa i polityka”.

W gruncie rzeczy to kwestia jednej chwili. Wystarczy zastrzyk barbituratów czy kurary, przedawkowanie morfiny lub niepodanie lekarstwa. Ale mnożą się pytania właśnie wokół tej jednej chwili, wokół niej się splecają. Na przykład co to jest ból? Ból, jak poucza doktryna chrześcijańska, jest faktem odczuwanym. „Tymczasem ból sam w sobie jest złem — a zatem jest słuszną walką o uniknięcie ewentualności cierpienia dla innych i dla nas samych. Dlatego, gdyby stanął w obliczu istnienia wprowadzonego jedynie do cierpienia fizycznego i moralnego, nie miałbym wątpliwości. Potwierdziłbym podstawowe prawo człowieka do tego, aby zakończył w pokoju swoje istnienie”.

Dylematy mogłyby się mnożyć w nieskończoność: czy regulowanie pra-

komatycznym i jego życie nie miało już sensu. Kto jednak może powiedzieć, czy ma sens, czy nie, dla rodziców utrzymywanie przy życiu dziecka w stanie komatycznym? Czasem jest to problem tak spleciony, że wydaje się nie do rozwiązania”.

Dyskutuje się, spiera, szuka się z trudem linii postępowania. Z wielkim zagrożeniem: skoncentrowania się debaty nad nieuchronnym „tak” czy „nie”, zapominając o rozległych strefach ziemi bezpańskiej, na której wykluczenie starców czy chorych jest codzienną praktyką. Wie coś o tym ojciec Fabbretti: „Kiedy przychodzę do niektórych przytułków, widzę zmarłych. Ludzie ci jedli i chodzili do jakiegoś momentu. Potem przestali jeść i chodzić i umarli”. Jest to śmierć powolna, na raty. Ale czasami to czynna eutanazja: „Znam przypadki chorych, którym odłączono rurkę z tlenem, i widziałem płaczących krewnych, dziękujących pielęgniarkom”.

W Szwecji, aby zaradzić trudnościom finansowym systemu zdrowia, przyjmuje się drastyczne rozwiązanie: osobom po siedemdziesiątce chorym na raka odmawia się leczenia ko-baltem. W Wielkiej Brytanii nie subwencjonuje się dializy dla pacjentów powyżej 55 roku życia i nie przeprowadza się trudnych operacji serca osobom, które ukończyły 65 lat. Wszędzie teraz praktyka dyskryminuje ludzi na podstawie wieku.

Co sądzą politycy?

Nie mówi o tym program rządu Ciriaco De Mity, a tym bardziej Bettino Craxi nie myśli o tym jako o „punkcie, z którego nie można zrezygnować”. A jednak, aby podjąć polemikę o „granicy między życiem i śmiercią”, dyrektor POPOLO, Paolo Cabras, znalazł w archiwach Montecitorio projekt ustawy z 2 lipca 1987 r. Pochodzi od grupy deputowanych WIPS, poczynając od Rosselli Artioli i Gerry Scotti (to dwa pierwsze podpisy) i jest kopią projektu z 19 grudnia 1984 r. podpisana przez niezjącego Lorisa Fortunę (i ciągle przez Artioli): „Normy opieki nad godnością życia i dyscyplina biernej eutanazji”. Przed rokiem politycy znów zajęli się eutanazją wskutek hasła wokół amerykańskiego przypadku Hektora Rodasa, całkowicie sparaliżowanego, któremu sąd w Colorado zezwolił na śmierć. Wywołało to

Naprawdę już trudno ustalić, czy słusznie myśleć o ustawie”.

Czy zarysowują się zatem nowe podziały między katolikami i świeckimi, jak w sprawach rozwodu i przerywania ciąży? Nie wydaje się: „chyba że pojawią się armaty straży tylnej” — mówi Mauro Seppia, socjalista kierujący Komisją Kultury i Nauki w parlamencie. „Moi towarzysze chcieli dać świadectwo, że coś istnieje, nie wymyślił sobie problemu — dodaje — porozmawiamy zatem z należytym spokojem”. Komuniści robią to od dawna i właśnie dlatego niepokoi ich „wszelkie robienie na siłę”. Stojąc zdecydowanie przeciw uporczywości leczenia, są jednak „niepewni co do celowości uregulowania”. Potwierdza to Iginio Ariemma, odpowiedzialny za zdrowie w WIPK i rzecznik Botteghe Oscure.

Co się tyczy Marco Panelli, od lat grzmii „przeciw nadmiernemu zamiłowaniu lekarza do nauki”, ale parlamentarzyści radykalni przyznają, że istnieją trudności we wprowadzeniu odpowiednich norm prawnych. Co dłużej, jest pewne poruszenie na ten temat we Włoskim Ruchu Społecznym. Deputowany MSI Olindo Del Donno, duchowny i absolwent teologii na papieskim uniwersytecie gregoriańskim, ma zamiar ponownie przedstawić swój projekt ustawy, przedstawiany poprzedniemu parlamentowi: „Normy obrony życia w stadium końcowym”. Uzasadnia go moralnością naturalną i doktryną katolicką, ale (również wskutek niedokładnego streszczenia przez prasę rzekomego „obowiązku” eutanazji przeprowadzonej przez lekarzy) sekretarz partii Gianfranco Fini kazał mu zahamować akcję.

Inny duchowny, socjalistyczny deputowany europejski, Gianni Baget Bozzo zawsze z wielką pokorą wysuwał problem: „Temat „łagodnej śmierci” — mówi — prowadzi nas w głąb tajemnicy wielkiej, wspólnej i osobistej rzeczywistości, jaką jest życie”. Coś podobnego mogłoby figurować na jednym z końcowych spisów rządu, spraw zdrowia, jeżeli De Mita przyjmie sformułowanie sugierowane przez współpracowników: „skierować wzrok na etyczną granicę zdrowia”. Jest to bezspornie zachęta dla polityków.

Co można zrobić?

Rozmowa z Honoratem Wiśniewskim szefem szkolenia Polskiego Związku Lekkiej Atletyki

— Z racji pełnionych obowiązków ogląda pan szlagierowe mityngi, gwiazdy lekkiej atletyki, jest pan świadkiem wielkich sportowych wydarzeń, których polscy kibice są od lat raczej pozbawieni. Pamiętamy jeszcze czasy naszej świetności lekkoatletycznej, liczymy wciąż na jakiś sukces, a tymczasem w światowej lekkiej atletyce panuje niezwykle ruch, padają fenomenalne rezultaty, świat się oddala. Dokąd on nam ucieka?

— Mało kto orientuje się, czym właściwie jest dzisiejsza lekkoatletyka, w ogóle sport wyczynowy na najwyższym poziomie. To już nie radosne hasanie po stadionie grupy utalentowanych zapaleńców. Jest to dziedzina, w którą angażuje się gigantyczne środki finansowe, wykorzystuje najnowsze osiągnięcia techniki, medycyny, farmakologii. Wiąże się to z postawieniem kultury fizycznej w wielu krajach na bardzo wysokim poziomie. Młodzież codziennie ma tam do czynienia z masowym ruchem fizycznym, a najbardziej utalentowanym stwarza się doskonałe warunki do uprawiania sportu wyczynowego. Dąży się do uzyskania wielkiego wyniku i... wielkich pieniędzy. Stoją za tym poważne firmy, sponsorzy. Inwestuje się w lekką atletykę jak w przemysł i jak przemysł ma ona przynieść zyski.

— W Polsce jest inaczej?
— W Polsce mamy kulturę fizyczną na niskim poziomie. Począwszy od o-

biektów sportowych, poprzez nauczanie wf. w szkołach, na systemie naboru i warunkach szkolenia wyczynowego skończywszy. Podstawowa sprawa: młody człowiek powinien spędzać w szkole minimum 6 godzin tygodniowo na intensywnych zajęciach ogólnorozwojowych. Minimum! Tak jest w wielu krajach, u nas po starciu — 2 godziny wchowania fizycznego.

— Grają sobie w dwa ognie i zdają z dwójką z wf. do następnej klasy...

— Mają wady postawy, skrzywienia kręgosłupa, małą wydolność organizmu. Rosną nam cherlawe pokolenia. Statystyki alarmują, a my, szkoleniowcy, naocznie to obserwujemy. Lekkoatletyka, jako dyscyplina wszechstronna, wymaga doskonałego przygotowania ogólnorozwojowego, najbardziej uzdolnionego ruchowo materiału ludzkiego. Kto ma go nam dostarczyć? Nauczyciele wychowania fizycznego nie są poważnymi partnerami dla dyrekcji szkół. Nie docenia się ich roli, nie premiują finansowo za szukanie i przekonywanie obiecującej młodzieży do szkolenia w klubach.

— Istnieją przecież wzory w innych krajach (Bułgaria, NRD), gdzie nauczyciel, który „wyłonił” talent i oddał go w ręce szkoleniowców, jest wysoko premiowany za wyniki wychowanka. Coś w rodzaju tantiem.

— Owszem. Tama się wychowanie fizyczne traktuje poważnie. W Grecji na przykład nauczyciele wf. są bardzo cenionymi fachowcami. W ZSRR, NRD większość szkół ma własne baseny, duże sale sportowe, zajęcia wychowania fizycznego odbywają się codziennie. Zawsze mówię, że taniej budować stadiony, boiska i hale sportowe niż szpitale i sanatoria.

— Egoda, jednak to właśnie niedożywione powojenne pokolenie dało nam wspaniałe sukcesy lekkoatletyczne, słynny Wunderteam.

— To była zupełnie inna epoka. To jest w ogóle nieporównywalne. Wtedy świat bawił się lekkoatletyką. Polscy trenerzy byli prekursorami. Stworzono usystematyzowaną metodykę treningu, przez wiele tygodni w roku trwały zgrupowania kadry. W masowym ruchu sportowym szukano najlepszych. Niech pan jednak weźmie pod uwagę, jakie to były czasy. Nie było telewizji, video, możliwości wyjazdów zagranicznych. Młodzież w spacerze szukała szansy...

— Mecz Polska — USA na Stadionie Dziesięciolecia oglądało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Dziś...

— Dziś nie mamy sukcesów na imprezach światowej rangi i nie ma pieniędzy. To znaczy w sensie bezwzględnych wyników osiągamy lepsze niż dawniej. Pastusiński w końcu skacze dalej niż Szmidt, który był rektor.

dziesiąt świata. Tylko, że świat poszedł dziś bardziej do przodu. Stworzył superorganizację, system wielkich mityngów z nagrodami liczącymi w tysiące dolarów. My zostaliśmy z archaiczną ligą lekkoatletyczną.

— Ma pan jakąś koncepcję zmian?

— Przede wszystkim trzeba sobie dać spokój z ligą w takim wydaniu. Niech to będą zawody dla juniorów, młodzieży. Obecna liga jest ciulaniem punktów, premiuje średniactwo. Na przykład Górnik Zabrze, który zdobył w ubiegłym roku drużynowe mistrzostwo Polski, daje do reprezentacji kraju na mistrzostwa Europy i świata juniorów i seniorów symboliczną liczbę zawodników. Lokuje się przeciętnych lekkoatletów na wysokich etatach górniczych, milicyjnych, wojskowych i ich zadaniem jest dostarczać punktów w lidze. Niektórzy w ogóle nie mają z klubami nic wspólnego: mieszkają gdzie indziej, trenują sami i inkasują przekazy pocztowe. Postartują dwa, trzy razy w roku i jest pieniąż. Rentierzy.



Rys. Andrzej Bronikowski

W Urzędowie

Puzdro narodowych pamiątek

PATRIOTYZM oraz żywotność społeczna i kulturalna mieszkańców Urzędowa były od dawna znane w Lubelskiem.

Wielu urzędowiaków brało udział w walkach narodowowyzwoleńczych. Np. Stanisław Zyszkiewicz był wojakiem napoleońskim — w Hiszpanii oraz pod Moskwą. Franciszek Dzikowski i Marcin Wojski walczyli w powstaniu listopadowym — w obleżonym Zamościu.

Do powstania styczniowego w 1863 roku poszło około 50 urzędowiaków, w tym znane są 34 na-

zwiska. Ja pamiętam z nich dwóch: Jakuba Kamyka i Marcina Lwanickiego. Niektórzy walczyli z Moskalami w pobliżu Urzędowa pod Chruśliną, Bobami, Moniakami, dowodzeni przez generała Michała Kruka (Mikołaja Heidenreicha). Znana jest z tego okresu zwycięska bitwa powstańców nad wojskami carskimi właśnie pod Chruśliną 4 sierpnia 1863 roku. Inni urzędowiacy toczyli boje pod Fajslawicami, Zyrzynem i Szupią.

W latach 1905—6 znowu obudził się duch patriotyczny. Urzędów stał się również miejscem mani-

festacji i wieców, domagających się języka polskiego w administracji i w szkole.

W 1915 roku w Urzędowie i okolicy trwały ciężkie walki, w których m.in. brało udział i poległo wielu urzędowiaków-żołnierzy Legionów Polskich. (Zbiorowa mogiła legionistów znajduje się na przeciw miejscowego cmentarza). Wówczas kwatrował w Urzędowie Józef Piłsudski ze swoim adiutantem Edwardem Rydzem-Smigłym — w domu Aleksandra Golińskiego. Z tego okresu zachowała się fotografia przedstawiająca szpital polowy (zakład sanitarny) I Brygady pod Urzędowem — w lipcu 1915 r. W 1915 roku Urzędów został w bitwie całkowicie zniszczony.

W latach poprzedzających odzyskanie niepodległości działała w Urzędowie Polska Organizacja Wojskowa. W 1918 roku POW-iacy urzędowscy rozbrajali Austriaków nie tylko w swoim rejonie, ale i w sąsiednich powiatach. Wśród działaczy w walce o niepodległość z tego okresu czołowe miejsce zajmują: Błażej Dzikowski (ps. „Kropidło”), Stefan Lelek (ps. „Luba”), Robert Bijaśiewicz (ps. „Orlik”) i Piotr Pomykański (ps. „Konewka”).

Wielu ochotników z omawianego terenu brało udział w walkach w latach 1919—1920. Warto zaznaczyć, że w grupie operacyjnej Wieczorkiewicza (późniejszego generała), który pierwszy wyruszył z baonem lubelskim na odsiecz Lwowa, do tego baonu był wcielony prawie cały oddział urzędowski POW.

Po odzyskaniu niepodległości Polski społeczeństwo Urzędowa dla uczczenia poległych w obronie Lwowa, ufundowało pomnik z następującym napisem: **BOHATEROM POLEGŁYM W ROKU 1918/19 W WALKACH O POLSKOŚĆ LWOWA I NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYZNY.** Na szczytowej części pomnika znajdował się orzeł z na wpół rozpiętymi skrzydłami, w pozycji stojącej, wykuty w kamieniu. Projektantem i zarazem artystycznym wykonawcą obiektu był miejscowy rzeźbiarz Józef Rachwał.

Pomnik usytuowano na historycznych walach obronnych Urzędowa, pochodzących jeszcze z XVI



Zbiorowa mogiła legionistów w Urzędowie

— A system stypendialny?

— Stypendia nie są żadną konkurencją dla fikcyjnych etatów. Wysiłek w kadrze duży, a pieniądze mniejsze. Po co się mordować? On jest płaty, szósty w Polsce, i to klubowi wystarcza. Co gorsza, trenerzy klubowi też są zainteresowani tą ligową mlódką, bo ich rozlicza się z punktów. Z konieczności zbieramy zawodników na długie zgrupowania do Spawy, Walcza, Cetniewa i tam staramy się stworzyć im odpowiednie warunki treningu, żywienia, odnowy. Ale to jest namiastka. Bo potem ten zawodnik wraca na swoje śmiecie; musi się przestawiać na gorsze. Pan to lubi?

— Nie.

— Właśnie. Warunki do treningu trzeba tworzyć tam, gdzie sportowiec stale mieszka. Tam musi mieć kontakt z fizjologiem, masażystą, lekarzem. A nie ciągle pakować walizki. Zgrupowania centralne powinny mieć charakter konsultacyjny. Dla przykładu, za kadrą lekkoatletów NRD jadą na obozy całe laboratoria, sztab ludzi.

— A u nas?

— Hm...

— To chyba przesada: nasi trenerzy ostatnio częściej niż o szkoleniu mówią o komputerach i aptece. Można by pomyśleć, że to jest najważniejsze.

— Bo jest! Jeśli amerykańska kadra ściśle współpracuje z NASA i wykorzystuje najnowsze osiągnięcia badań kosmicznych, podobnie w ZSRR, jeśli komputerowo programuje się procesy fizjologiczne i żywieniowe zawodników, laboratoryjnie testuje wysiłek fizyczny lekkoatlety — to o co chodzi? Oglądałem w zakładach „Adidas” nowe buty dla biegacza. Biorę je do ręki i nie wiem, czy to są kolce, czy nie? A ewolucja tyczki — od bambusa do grafitu?

— Pastylki i sprzęt przecież wyniku nie zrobią?

— Szkolenia nie zastąpią, ale na pewnym poziomie wytrenowania to, o czym mówię, daje dodatkowy, pozornie tylko minimalny efekt. Weźmy Bena Johnsona. Talent — na pewno! Ale żeby z wielu talentów wyprodukować jednego rekordzistę, trzeba dziś drobiaz-

gowego, komputerowego rozpracowania cyklu treningowego. Polscy trenerzy — Mach, Matuszewski, którzy się Johnsonem opiekują, mają te możliwości. Mówimy oczywiście o dozwolonym wspomaganiu organizmu.

— A niedozwolone? Przecież „tykają” na potęgę wszyscy, nasi mistrzowie też. Tyle, że innych łapią rzadziej, wygrywają za to częściej. Nie mamy pieniędzy na dobry „koks”?

— To jest tańc, że jedni walczą na bieżniach, a drudzy równocześnie w laboratoriach. Po to, żeby tym pierwszym dać i nie pozwolić wykryć tego, co się dało. Lista środków uznanych za dopingujące obejmuje już około 2000 pozycji. I ciągle rośnie. Stefydy, anaboliki, przetaczanie krwi, coraz doskonalsze środki „maskujące”. Wszyscy się odzegnują, ale problem nie znika.

— A my mamy kłopoty z ustaleniem płci niektórych rekordzistek. Czytałem zwierzenia szwedzkiego miotacza Rickya Brucha. Wstrząsające. To już jest produkcja wyniku!

— Powiem panu, że jeśli się na przykład zna dziewczynę młodą, ładną, a po paru latach wyczynu ona staje się płaską jak deska, z meszkiem na twarzy i barami zapasnika, to naprawdę trudno jest zachęcać dzieci do naśladowania rekordzistki. To raczej nie jest wzorzec. Ale zdajmy sobie sprawę z tego, że mamy do czynienia z obiektywnie istniejącą rzeczywistością i ten, kto chce być na szczycie, musi przyjąć jej reguły.

— To znaczy, że można się tylko przystosować, lepiej zabezpieczyć?

— Ależ nie! Przecież jednak MKOl, i narodowe Komitety Olimpijskie wydały ostrą walkę dopingowi. Poszły na to spore nakłady. Mamy już własne laboratorium w Warszawie. To w końcu przyniesie efekty, może już na Olimpiadzie. My nie musimy przecież budować czegoś na siłę, choćby w konkurencjach siłowych. Wcale nie! My po prostu jesteśmy w ogóle za biedni na robienie wielkiej lekkoatletyki.

— To co możemy zrobić?

— Pytał mnie o to samo Jerzy Szmajdziński na spotkaniu w ZSMP w Warszawie. Powiedziałem, że trzeba u-

zmysłowie naszym decydom, jaka rolę dziś odgrywa kultura fizyczna i sport na świecie. Czym on jest dla ludzi. Na czym polega sport wyczynowy, jak się go robi, gdzie indziej i jak się na nim zarabia. Proszę mi powiedzieć, jak u nas zdyskontowano sukcesy piłkarzy? Siatkarzy, piłkarzy ręcznych? W lekkiej atletyce mieliśmy grupę wybitnych zawodników jeszcze w końcu lat 70. jak wykorzystano ich osiągnięcia dla spopularyzowania lekkiej atletyki, dla szeroko rozumianej kultury fizycznej? Mówiąc o Seulu, musimy wrócić do okresu po igrzyskach w Moskwie, bo już wtedy widoczne były symptomy kryzysu całego polskiego sportu. Składa się deklaracje o reformie, ale jak dotąd, „pieriestrojki” w sporcie nie widać. Tymczasem bez radykalnych zmian w strukturze kultury fizycznej i sportu będzie się pogłębiał dystans do światowej czołówki.

— Wygląda na to, że po raz pierwszy od 1952 roku wrócimy z Olimpiady bez medalu w lekkiej atletyce.

— Moim zdaniem, medalowe szanse ma jedynie Mirosław Chmara w tyczce, kilku innych może zająć punktowane miejsca. To wszystko, na co nas obecnie stać.

— Jak pan sądzi, jaki będzie przebieg Igrzysk? Czy zmienią coś w układzie sił w światowym sporcie?

— Na pewno będą stały na bardzo wysokim poziomie. Ponownie spotkają się wszyscy najlepsi, liczę na superwyniki. Być może, trochę je przyhamuje ostra kontrola antydopingowa, ale chyba i tak padną rezultaty „trzęsiego wymiaru”. Do walki o medale i finały włączą się zapewne lekkoatlety z Afryki i Azji, nie odgrywający dotychczas znaczącej roli.

— Co później? Seul zamknie przecież pewien okres pańskiej działalności.

— I tak i nie, bo kontrakt kończy mi się 31 grudnia. Będzie kampania sprawozdawczo-wyborcza w PZLA...

— I może pan stracić posadę?

— Mogę, jestem w końcu już czwartym szefem szkolenia w tej kadencji.

co też świadczy o niemożliwej sytuacji w naszej dyscyplinie. Podjąłem się tej kaskaderskiej pracy dwa lata temu bez nadziei na sukces, dlatego też nie przeżywałem głębokich frustracji z braku ośniewających rezultatów. Wiedziałem od początku, że teraz ich nie będzie. Skoro nie było utalentowanych juniorów z roczników 60—65, to nie mogliśmy dochować się wybitnych seniorów. Tego się nie da oszukać. Sport jest wymierny, wyniki są stale weryfikowane, stałe... Można oczywiście fantazjować jak Lazarek, że mamy świetny zespół. Ale tylko do czasu konfrontacji z najlepszymi. Do światowego poziomu doprowadza się zawodnika przez 6—8 lat, i tyle czasu potrzeba, żeby tę lukę wypełnić.

— Postęp jednak widać. Obserwowałem ostatnio Spartakiadę Młodzieży — jest grupa utalentowanych zawodników. Były medale w Mistrzostwach Europy i Świata juniorów w Birmingham i Sudbury. To pozwala na pewien optymizm.

— Rzeczywiście juniorzy spisali się rewelacyjnie.

— Czy „uda” nam się zmarnować te talenty?

— Mam nadzieję, że nie. Konkurencja jest jednak ogromna. W ubiegłorocznych Mistrzostwach Świata w Rzymie na 180 startujących reprezentacji przedstawiciele około 100 krajów zdobywali medale i miejsca w finale. Konkurencja i postęp... Przypominam sobie, jak w czasie halowych Mistrzostw Świata w Indianapolis zwiedzałem muzeum Formuły 1 przy słynnym torze wyścigowym. Stali tam, obok wielokulów z początków stulecia, supernowoczesne bolidy. Cała epoka w sporcie i technice... Postęp w lekkiej atletyce jest porównywalny z tym, jaki dokonuje się w przemyśle kosmicznym, zbrojeniach, medycynie. Pierwszy korzysta z drugiego. Sport wyczynowy jest ściśle uzależniony od poziomu ekonomicznego, gospodarki, polityki nawet. Miejmy świadomość naszych warunków. Świat zabrał się do ekopresu, a my turlamy się osobowo do Koluśzek...

Rozmawiał:

Leszek Wiśniewski

wieku. W budowie wzięło udział społeczeństwo miejscowości, a szczególnie młodzież szkolna i nauczycielstwo. Sam, jako uczeń szkoły podstawowej w Urzędowie, zbierałem i nosiłem kamienie przeznaczone pod fundament pomnika.

Monument przetrwał nie naruszony przez okres okupacji niemieckiej (1939—1944), a w latach powojennych został niestety zniszczony przez nieznaną sprawców. Nadmienię, że do ostatnich lat, pomimo starań, społeczeństwo Urzędowa nie mogło uzyskać zezwolenia na jego renowację, ale do tego jeszcze powrócę.

W tym domu kwaterował Józef Piłsudski w 1915 r.



Drugim obiektem pamięci narodowej, również autorstwa i wykonawstwa Józefa Rachwała, był pomnik Józefa Piłsudskiego, ufundowany w roku 1936 przez mieszkańców Urzędowa dla upamiętnienia krwawych walk, stoczonych przez I Brygadę Legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, i wyzwolenia Urzędowa. Pomnik Piłsudskiego, podobnie jak poprzedni, przetrwał okres okupacji, a w 1949 roku został zdewastowany przez nieznaną sprawców i obecnie stoi zaniedbany na placu obok kościoła (może to jedyny w kraju, jako taki zachowany pomnik Piłsudskiego?).

Na frontowej części widniał napis: WODZOWI I BOJOWNIKOM O WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ LEGIONIŚCI I PEOWIACY POWIATU JANOWSKIEGO. Nad tym tekstem w owalu umieszczono popiersie Józefa Piłsudskiego z brązu. Zarówno napis, jak i brązowe popiersie zostały zniszczone. Na szczycie pomnika wykuty był orzeł z rozpiętymi skrzydłami, karmiący pisklętą. Całość pomnika ogrodzono stylizowanym, kutym łańcuchem, który też jest uszkodzony.

W 1981 roku miejscowe koło ZBoWiD zwróciło

się do ministra kultury i sztuki, głównego konserwatora zabytków w Warszawie, prof. Wiktora Zina o wyrażenie zgody na odbudowę tego pomnika, lecz nie uzyskało żadnej odpowiedzi, choć społeczeństwo Urzędowa wyraziło wówczas chęć odbudowy z własnych dobrowolnych składek.

Dodam, że w późniejszym okresie ówczesne władze wojewódzkie nie interesowały się odbudową wymienionego pomnika. Dopiero w obecnym roku, w kwietniu, Wojewódzki Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Lublinie podjął decyzję zezwalającą na renowację znajdujących się w Urzędowie monumentów z okresu międzywojennego z zachowaniem pierwotnej ich formy oraz napisów.

Jest nadzieja, że na 70. rocznicę odzyskania niepodległości Polski oba pomniki będą odbudowane, choć czasu zostało niewiele.

Stanisław Surdacki
Zdjęcia: Paweł Surdacki



Pomnik Józefa Piłsudskiego w Urzędowie

Ostatnia walka 27 Dywizji AK

Mirosław Derecki

LEON Karłowicz do dziś pamięta doskonale tę noc z 22 na 23 lipca 1944 r., gdy z batalionem por. „Jastrzębia” maszerował z Firleja w stronę Lubartowa, który miały zdobywać wysłane tam poprzedniego dnia oddziały por. „Bratka” i por. „Buras”, ale do tej pory dowództwo Dywizji nie miało o nich żadnej wiadomości.

21 lipca do 27 Wołyńskiej Dywizji Plechoty AK (stacjonującej po przedarciu się z niemieckiego okrążenia w lasach parczewskich w rejonie Firleja) przybył łącznik z komendy obwodu lubartowskiego Armii Krajowej z prośbą o wsparcie miejscowych oddziałów w działaniach mających na celu wyzwolenie Lubartowa. Rozpoczęła się akcja „Burza”. Mjr „Kowal” (Jan Szatowski) skierował do Lubartowa właśnie batalion „Bratka” i kompanię „Buras” z batalionu kpt. „Hrubego”.

Leon Karłowicz miał wówczas osiemnaście lat, nosił pseudonim „Rydz” i od roku walczył w oddziałach partyzanckich. Z konspiracją na rodzinnym Wołyniu był związany już znacznie wcześniej. Od miesięcy tkwił w masie żołnierskiej Dywizji, spoglądając na to, co się działo wokół, z pozycji starszego strzelca. Był jednym z tych, którzy wykonują rozkazy przełożonych. Ale też właśnie dlatego jego wspomnienia, które spisał w czterdziestu lat później, są szczególnie interesujące: ukazują życie 27 Dywizji AK widziane oczyma zwykłego żołnierza.

A więc ów nocny marsz na Lubartów, w kompletnych ciemnościach, nocą z 22 na 23 lipca. Zdeenerwowanie: co się dzieje z kolegami z oddziałów „Buras” i „Bratka”? Tuż przed świtem zaczął sapać deszcz. Nagle na wysokości mijanego niewielkiego lasku meldunek od czujki: „Niemcy”!

Ruszyli tyraliera przez zboża. Silny ogień niemieckiej broni maszynowej z naprzeciwka. Polskie „Hurra”! Potem — ciemne sylwetki uciekających przez lany żyta Niemców. Krzyki ich rannych, dochodzące gdzieś z prawej

strony... Mundur coraz bardziej mokry od deszczu i od nabrzmiałych wilgocią kłosów. Jakiś niemiecki żołnierz podnosi ręce do góry, oddaje karabin. I już niedaleko — mającące w pierwszym brząsku zabudowania lubartowskiego przedmieścia Zagrody. A przed nimi — wiadukt nad torami kolejowym. I wychodzący z ukrycia żołnierze z kompanii por. „Buras”, którzy mówią, że Lubartów już wolny. Ludzie „Jastrzębia” przekazują im wziętych do niewoli kilkunastu niemieckich jeńców. Może ci Niemcy to część załogi zdobytego niedawno, niedaleko stąd, przez partyzantów pociągu ze sprzętem sanitarnym?

Robi się widno. Stormowany w ówczorki batalion „Jastrzębia” (por. Władysława Czermińskiego) maszeruje w stronę centrum Lubartowa. Po obu stronach ulicy Słowackiego setki ludzi. Paniąki rzucają kwiaty. Mężczyźni częstują papierosami. Powietrze trzęsie się od okrzyków, wiewatów, śpiewów...

To było ogromne przeżycie. Po roku letniej tułaczki Leon Karłowicz po raz pierwszy zobaczył miasto! Miasto, które tego dnia wydawało się podobne — jota w jota — do pozostawionego daleko na Wołyniu, ukochanego Kowala! Batalion „Jastrzębia” szedł teraz ulicą Lubelską w kierunku kościoła oo. Kapucynów. Nie dochodząc do klasztoru, skręcił w prawo, w ulicę Legionów. Wznosił się przy niej wielki, dwupiętrowy, nowoczesny gmach szkoły powszechnej, podczas okupacji służący Niemcom za koszarę i za szpital wojskowy. Wejścia na obszerny dziedziniec przed szkołą strzegły uzbrojone posterunki. Mieściło się tu Dowództwo Obwodu AK. W wolnych salach mieli się także zakwaterować żołnierze z oddziałów 27 Dywizji. Batalion „Jastrzębia” umieszczono na pierwszym piętrze. Mieli tu podobno zostać kilka dni, aby dobrze wypocząć przed dalszymi walkami „gdzieś nad Wisłą”. Dostali obfite śniadanie. Porozciągali się na niemieckich łózkach polowych, czekając na obiad.

Do Lubartowa wchodziły od strony Firleja dalsze oddziały 27 Dywizji: kompanie batalionu „Gzymśa” z towarzyszącym im mjr. „Kowalem”. Ludzie „Gzymśa” po drodze do Lubartowa natknęli się na wysokości Woli Łisowskiej na niemiecką kolumnę samochodową jadącą od strony miasta. Szybka akcja doprowadziła do zdobycia sześciu aut. W walce padło wielu Niemców.

Lubartów był biało-czerwony od zwisających z okien i z dachów chorągwi. Deszcz zaczął. Ustępowała spowijająca miasto od rana gęsta mgła. Wychodziło słońce. Była niedziela, 23 lipca 1944 r.

Wyzwolenie Lubartowa

Lubartów został wyzwolony w sobotę 23 lipca. Około godziny 13. zawiła syrena w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej. W kilka minut później przemarszerował od Rynku przez ul. Legionów (obecnie ul. 25 Października) kilkunastoosobowy oddziałek mężczyźni z biało-czerwonymi opaskami na rękawach i z karabinami w dłoni. Niektórzy z nich mieli na głowach strażackie helmy. Byli to żołnierze AK należący do miejscowej straży pożarnej. Oddział skierował się do opuszczonej przez Niemców szkoły powszechnej.

Miasto było dziwnie ciche i spokojne po huku i zgiełku dwóch ostatnich dni, kiedy przewalały się tędy nieskończone kolumny samochodów z wojskiem, zdążając od Lublina w stronę Michowa, skąd było połączenie z szosą warszawską. Wyjeżdżała z Lubartowa miejscowa żandarmeria i gestapo, ewakuowały się ostatnie niemieckie urzędy; zarekwirovano piękny, ciemnozielony samochód — dumę strażaków; po ulicach biegał zrozpaczony, oglupiały „Graf”, groźny do niedawna wilczur znanego żandarma, który uciekając pozostawił psa własnemu losowi.

Wczesnym popołudniem 23 lipca ludzie zaczęli wychodzić z domów. Pojawili się pierwsze biało-czerwone

flagi. Przed szkołą, gdzie na posterunku tkwił z karabinem w dłoni znany całemu miastu kierownik strażackiego samochodu i zarazem mechanik od motopompy, zbierał się coraz to potężniejszy tłum. Tymczasem miejscowe oddziały Armii Krajowej obsadzały kolejne niemieckie obiekty. Komendant Obwodu Lubartów, por. Roman Jezior (ps. „Okod”), stanął wraz ze sztabem w budynku szkoły. Oczekiwano na przybycie pierwszych oddziałów 27 Dywizji AK spod Firleja.

Meldunek dzienny z realizacji planu „Burza” w Inspektoracie Rejonowym „Lublin” z 22 lipca 1944 r. stwierdza m.in.:

Na terenie m. Lubartowa akcja przeciw Niemcom rozpoczęła się o godz. 13.30. Ob. Zbił z swoim plutonem zajmuje koszarę i inne obiekty wojskowe i przejmuje broń pozostawioną przez posterunek niemiecki na moście kolejowym na rzecze Wieprz. O godz. 17.00 przy współdziałaniu jednej kompanii 27 dp, wypierając nieprzyjaciela, obsadzają dworzec kolejowy. O godz. 19.00 na przejeździe kolejowym Lubartów — Michów pluton ob. kpr. Klomba z Lisawa, łącznie z kompanią 27, otoczył i zdobył pociąg sanitarny ze zmotoryzowanym sprzętem. W międzyczasie na innym odcinku zlikwidowano 2 Niemców, a 4 raziło do niewoli. O godz. 21.00 pluton ob. ppor. Lekarza, uzupełniony ze stanów plutonu ob. sierż. Adama z Annoboru, odparł atak ogniowy nieprzyjaciela w rejonie Lubartów — Annobór. O godz. 22.00 pluton ob. Lekarza wkroczył do m. Lubartowa, gdzie jego patrol pod dowództwem ob. kpr. Kruka rozbroił 3 Niemców, zdobywając km, wzór 42, i 2 kb.

Zdobycie pociągu

Punktem kulminacyjnym akcji „Burza” w Lubartowie było właśnie zdobycie niemieckiego pociągu ze sprzętem sanitarnym.

Rzecz ciekawa, że o zdobyciu owego pociągu pisze się stosunkowo najmniej

Normana Daviesa

konotacje polskie

Dokończenie ze str. 1

ne aspekty naszych dziejów jakby na nowo i w sposób dla Polaków, jak sądzę, zaskakujący. Dlatego warto pokazać kilka wizji „przewrotnego losu”, sterującego życiem jednego z narodów w środku Europy.

Książka Normana Daviesa została ukończona w maju 1979 roku. Nie wyrosła więc na bazie taniej często sensacji, towarzyszącej naszym sprawom w latach 1980—81 (choć obecne wydanie posiada aneks „Solidarność”). Wyrosła, jak sądzę, z fascynacji autora historią kraju, z którym zetknął go niegdyś osobisty los, a także z czystej pasji poszukiwawczej historyka. Obejmuje ona dzieje Polski od początków naszej państwowości aż do końca lat siedemdziesiątych XX wieku. Trudno byłoby przedstawić tutaj całość interpretacji Daviesa, dotyczącej czasów piastowskich, jagiellońskich czy Rzeczy-

pospolitej Obojga Narodów. Podobnie chyba jak i nam, brakuje Daviesowi w tym okresie wielkości i relatywnego sukcesu owego pierwiastka odrębności. Jasne, że inny to kraj niż budująca równoległe swą wielkość Francja czy Wielka Brytania. Ale faktem również jest, że dopiero „ustabilizowana kęska”, ciąg tragicznych wydarzeń od rozbiorów aż do współczesności, czynią historię Polski zjawiskiem wyjątkowym w Europie.

Z okresem rozbiorów łączy się bowiem choćby powstanie współczesnego pojęcia narodowości. „W dawnej Rzeczypospolitej »nacionalizm« oznaczał lojalność wobec państwa, w dobie rozbiorów zaczął on oznaczać przynależność do tej samej, prześladowanej grupy etnicznej”.

Fakt, iż polskie poczucie narodowe kształtowało się w opozycji do polityki krajów, w których Polacy żyli, posiada niemały wpływ na nasze współczesne postawy. Również pojęcie Polski, funkcjonujące tak długo jako poję-

cie „kraj”, utrudnia nam do dziś realistyczną ocenę własnego stanu posiadania. Podkreślając różnorodność polskich postaw w okresie rozbiorów, Davies uważa, że w efekcie zwyciężyła idea „powstańcza”. Narodziny II Rzeczypospolitej widzi nie tylko jako korzystny zbieg historycznych okoliczności, ale również jako plon narodowych ruchów wyzwolenczych. Doceniając zasługi Józefa Piłsudskiego w akcie zbrojnym wspomagającym polską drogę do niepodległości, angielski historyk tak go jednocześnie charakteryzuje:

„Był on konspiratorem, a nie mężem stanu. Jego myślenie zostało ukształtowane przez twarde realia rosyjskiego rewolucyjnego podziemia. Obca mu była idea kompromisu czy cierpliwego przystosowania się [...]. Był żołnierzem. Jego naturalny instynkt w obliczu impasu nakazywał mu wyrąbać sobie drogę orężem. Było to znamie jego dyplomacji, a w 1926 roku jego podejście do problemów konstytucyjnych. Był wreszcie sioniem o łobuzerskiej mentalności. Posiadał wszystkie polityczne wady w pełnym wymiarze: był krnąbrny, lekkomyślny, brutalny, mściwy, dziesięć, zamknięty w sobie i nieobliczalny. Był kłopotliwy dla swoich przyjaciół i obraźliwy wobec swoich oponentów. Nie był w stanie podporządkować się partyjnej dyscyplinie ani stworzyć spójnego ruchu politycznego. Niemniej w latach 1918—21 odegrał w historii Polski rolę, której istotę trudno podważyć. Podobnie jak Churchill w dwadzieścia lat później, jego »najlepsza godzina« wybijała w ogniu walki, mimo klęsk i porażek w działalności dnia powszedniego. Tak ogromna była siła jego osobowości, upór w realizacji celów, że potrafił narzucić swoją wolę bardziej ostrożnym spośród swoich towarzyszy”.

Rezultatem politycznej hegemonii tego typu osobowości stało się więc pań-

stwo, które Norman Davies tak scharakteryzował:

„Nikt nie może utrzymywać, że polityka II Rzeczypospolitej była jednym pasmem sukcesów. Demokracja parlamentarna upadła po ośmiu zaledwie latach i nigdy nie została zastąpiona spójnym systemem. Arbitralne akty sanacyjnego reżimu nie były bardziej budujące niż polityczne klótnie, które je poprzedzały [...]. Mniejszości narodowe systematycznie uciskano. Represje wobec Ukraińców na wszach zbiegały się z rosnącym zagrożeniem żydowskiego bezpieczeństwa w miastach. Reforma rolna traciła stopniowo impet. Reforma ekonomiczna i przemysłowa przyniosła o wiele za mało i o wiele za późno. Stabilizację finansową osiągnięto kosztem niskich inwestycji i wysokiego bezrobocia. Nastroje klasy robotniczej były ponure, a jej siła nabywcza niewielka. Zagraniczne zaufanie do Polski pozostawało niskie, a udział kapitału obcego znikomy. Wszystkie jednak te ułomności należy widzieć w odpowiednich proporcjach [...]. II Rzeczypospolita była skazana na zagładę, ale jeśli w 1945 roku niemożliwe było odbudowanie europejskiego porządku bez państwa polskiego, to fakt ten w dużej mierze wynika z osiągnięć Polski przedwrześniowej”.

Sytuację naszego kraju w przeddzień wybuchu II wojny światowej Norman Davies analizuje, biorąc za punkt wyjścia tak powszechną opinię o osobistej odpowiedzialności za klęskę ministra Józefa Becka. „Próby obarczenia go winą za wrześniową tragedię mają jedynie na celu ukrycie odpowiedzialności o wiele bardziej prominentnych postaci — pisze Davies. — Grzechem kardynałowym Becka, podobnie jak Piłsudskiego przed nim, było ciągle rozmiernianie się w intencjach ze swoimi potencjalnymi sojusznikami. W 1934 roku rozważał on możliwość wojny prewencyjnej przeciw Hitlerowi, podczas gdy



Zołnierze 27 Dywizji AK w marszu (lipiec 1944)

na dalekim obrzeżu miasta. Na wysokości dworca odchodzi od ul. Lubelskiej w jego kierunku ul. Kolejowa. Ale wówczas można było także iść z ul. Lubelskiej „na skróty”, skręcając około dwustu metrów przed ul. Kolejową w prawo, na wydeptaną wśród łąk wąską, biegnącą ukosem ku stacji, ścieżkę. Tędy właśnie skierował się kilkusobowy patrol z 27 Dywizji, mając za sobą w pewnej odległości dalszą grupę żołnierzy w liczbie nie więcej chyba niż jednego plutonu.

Skręcając na ścieżkę, żołnierze wysłali w charakterze zwiadowców trzech miejscowych chłopców w wieku około dziesięciu lat, którzy towarzyszyli im od centrum miasta. Mieli oni rozecznać się, czy stacja jest już wolna od Niemców. Jakoż istotnie po peronie i w budynku dworcowym kręcili się już tylko polscy kolejarze. Natomiast na placu przed stacją siedziało na wozie taborowym kilku niemieckich żołnierzy; ostatni, jacy ciągnęli tędy od strony Lublina. W cieniu drzew szukali wytchnienia.

Na odgłos pierwszych strzałów nadciągających od miasta żołnierzy 27 Dywizji Niemcy natychmiast rzucili się do ucieczki. Podczas kilkuminutowej bezładnej strzelaniny, jaka wywiązała się wówczas na dworcu, którego otoczenie penetrowali partyzanci w poszukiwaniu dalszych Niemców, wjechał na peron od strony Parczewa wojskowy pociąg ze sprzętem sanitarnym, kierujący się na Lublin. Postraszony strzelaniną, maszynista zahamował i włączywszy wsteczny bieg, zaczął wycyfować pociąg. Dotychczas parowóz pchał przed sobą cały kilkunastowagonowy skład pociągu; obecnie, wycofując się, znajdował się on na samym przodzie. Tuż za parowozem przyczepiony był wagon osobowy trzeciej klasy, starego typu, z drzwiami z zewnątrz do każdego przedziału. A dalej na zmianę: odkryte lory (na których stały samochody ciężarowe i sanitarne lub „sanitarki” o ciągu konnym) oraz typowe kryte wagony towarowe. Skład ten wiozł prawdopodobnie niemiecką kompanię sanitarną wraz z oddziałem ochrony. Tak więc pociąg umknął, ale nie na długo.

Tor kolejowy biegnący od stacji Lubartów w kierunku Parczewa (a dalej: Lukowa i Siedlec) opuszcza miasto szerokim łukiem. W odległości półtora

Dokończenie na str. 12—13

lany przez por. „Burasa” i ppor. „Jaszczura”. [...] Pociąg niemiecki pozostał przed stacją (? — przyp. MD) z dużą ilością broni, amunicji, żywności, koców, leków itp.

Ireneusz Caban i Zygmunt Mańkowski w swej dwutomowej pracy „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939—1944” (Lublin 1971) stwierdzają podobnie (t. I, str. 180), że oddziały 27 Dywizji AK „wspólnie z miejscową kompanią uderzyły na stację kolejową, gdzie opanowały po walce pociąg sanitarny, wypierając 70-osobowy oddział niemiecki”.

Tymczasem wydarzenia te wyglądały inaczej.

Oto gdzieś pomiędzy godz. 16.00 a 17.00 w rejonie szkoły podstawowej i klasztoru oo. Kapucynów pojawili się pierwsi żołnierze 27 Dywizji AK. Pytały o stację kolejową i po uzyskaniu informacji udali się w tamtym kierunku. Lubartowski dworzec kolejowy znajduje się w odległości około półtora kilometra od centrum miasta. W tamtym okresie biegnąca ku stacji ul. Lubelska zabudowana była parterowymi domami, pomiędzy którymi zdarzały się szerokie pola; pół żyta lub kartofli. Sam dworzec wraz z otaczającymi go zabudowaniami kolejarskimi oraz rodzajem parku, w którym stały domy mieszkalne pracowników kolei, stanowiły jakby osobną „wyspę”

i mało dokładnie w literaturze wspomnieniowej dotyczącej ówczesnych wydarzeń. A i w pracach historycznych można znaleźć błędne wiadomości. Nawet niezwykle skrupulatny Michał Fijałka, autor książki „27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK” („PAX”, Warszawa, 1986), zresztą dowódca jednego z batalionów Dywizji, walczącej wówczas w rejonie Firleja — Kooka (w samej akcji na Lubartów nie brał udziału), pisze, iż:

Wspólnie, (z miejscowymi oddziałami AK — przyp. MD) toczono walki o pociąg, który rano (? — przyp. MD), 22 lipca nadjechał z kierunku Parczewa i przed wjazdem na stację został zatrzymany (? — przyp. MD) i ostrze-

jakakolwiek wzmianka tego typu była wówczas w Londynie czy Paryżu anatemą. W 1937—38 roku rozmyślał o zabezpieczeniu narodowych i strategicznych interesów Polski w opraciu o Zachód, podczas gdy Chamberlain i Deladier prowadzili politykę „ugłaskiwania” Hitlera kosztem innych narodów. W 1939 odmówił koncesji na rzecz Związku Radzieckiego, podczas gdy państwa zachodnie stawiały akurat na koncepcję powstrzymania Hitlera kosztem Armii Czerwonej”.

Obraz okupacji hitlerowskiej, wykreowany przez Daviesa, szkokuje chłodnym zapisem niewyobrażalnych zbrodni. Dla polskiego czytelnika, przyzwyczajonego do traktowania tych czasów z emocjonalnej perspektywy, ów rejestr okrucieństwa przybiera postać absurdalnej nierzeczywistości. Jest to wszakże obraz uczciwy, pozbawiony, tak choćby częstych w zachodniej publicystyce, prób rozniecania antysemickich resentymentów, pełen faktów i drobnozgodowego udokumentowania zapisu tragedii. Nie pomija Davies także trudnych w tym czasie stosunków polsko-radzieckich, a zwłaszcza problemu deportacji obywateli polskich w latach 1939—40. Widzi je w kontekście apogeum stalinowskiego terroru, rozpoczętego podczas kampanii na rzecz kolektywizacji i trwającego nieodmiennie aż do niemieckiej napaści na ZSRR. Osamotnienie Powstania Warszawskiego Davies tak interpretuje:

„Dla Anglików i Amerykanów w chwili, gdy dopiero powstał zachodni front w Normandii, było rzeczą nie do pomyślenia, by sojusz z ZSRR mógł zostać osłabiony ze względu na Polaków”.

Po otrzymaniu dokładnych raportów o walkach w Warszawie, a także dołączonych do nich listu polskiej kobiety do papieża — „Świat ignoruje naszą

walkę. Tyko Bóg jest z nami. Ojciec Święty, jeśli nas usłyszysz, pobłogosław polskim kobietom walczącym o Kościół i wolność” — prezydent Roosevelt powiedział:

„Obecnie nic nie możemy zrobić, by im pomóc”.

Stanowisko Stalina uważa Davies za niejednoznaczne, dostrzegając zarazem znaczenie ówczesnego załamania się ofensywy armii Rokossowskiego.

Stosunek Daviesa do Polski Ludowej okazuje się dość złożony. Prezentując niejednokrotnie powierzchowne i stereotypowe widzenie naszego kraju, powojenne dzieje Polski widzi on przede wszystkim jako walkę nowej władzy o narodową wiarygodność, a także wypracowanie sobie prawa do „polskiej drogi do socjalizmu”. „W swej Istocie — pisze — polityczna historia powojennej Polski jest bardzo prosta [...] W szczególności jednak okazuje się ona ogromnie skomplikowana [...] Poza tym polityka to nie wszystko. Każdy uczciwy opis musi zawierać obraz atroficznego rozwoju życia politycznego w obliczu osiągnięć w życiu społecznym i kulturalnym, a nade wszystko wobec ogromnych sukcesów odbudowy z ruin wojennych”.

Wysoko ocenia on polskie inicjatywy rozbrojeniowe — plany Rapackiego i Gomułki, a także układ o normalizacji stosunków z RFN. Stan powtarzających się kryzysów politycznych widzi natomiast jako częściową konsekwencję niemożności właściwej reinterpretacji narodowych dziejów. Ogranicza to polską zdolność do realistycznej oceny aktualnych zjawisk, prowadząc jednocześnie do zderzenia polityczno-ekonomicznego equilibrium z kolorową mozaiką praktycznych paradoksów. „Dla anglosaskiego obserwatora — pisze — Polska jawi się jako kraj nasączony wszechobecnym klimatem «l-

landzkości». I to nie tylko dlatego, że — jak ujął to jeden ze znanych historyków — Polska i Inlandia to dwa katolickie kraje, żyjące na diecie z kartofli i mocnych trunków. Większość Polaków posiada charakter na «nie». Polacy to przede wszystkim patrioci. Udowodnił wielokrotnie, że gotowi są oddać życie za swój kraj, a jednak niewiele pragnie dla tego kraju pracować. Stosunek do sąsiadów pozostaje niejasny, a nad całością unosi się atmosfera nierzeczywistości”.

Z perspektywy całości naszych dziejów Polska Ludowa objawia się Daviesowi jako swoiste historyczne katharsis — powrót do kolebki. Utrwaleniem tej koncepcji mają być nasze wysiłki ciągłego zaznaczania narodowej tożsamości. Poza okresem stalinowskim charakteryzują się one upartym marszem w kierunku coraz pełniejszego wykorzystania ogólnonarodowego potencjału. Ewolucyjność procesu dziejowego PRL dostrzega Davies bardzo wyraźnie. Od odmowy uczestnictwa w ONZ-owskim głosowaniu nad sprawą węgierską w 1956 roku, poprzez Październik, gierkowską politykę międzynarodowego otwarcia, po Umowę Społeczną z 1980 roku — (Aneks). „Polacy muszą rozpocząć, tak jak ich ojcowie — pisze Davies — od powtarzanej analizy swojej przeszłości. Tylko wtedy uda im się połączyć specyficzne wartości indywidualizmu i wolności, które charakteryzowały ich ducha przez wieki aż do dnia dzisiejszego. Polityczne struktury czy systemy same w sobie nie posiadają wartości. Formalne uzyskanie narodowej niezależności nabiera znaczenia dopiero wtedy, gdy wysiłki państwa skierowane są na pozytywne cele. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, muszą Polacy cele te odnaleźć”.

Trudno w krótkim eseju dokonać reprezentatywnej analizy dzieła Nor-

mana Daviesa. Każdy zaś wybór będzie zawsze wyborem niepełnym. Daviesa historia Polski zawiera bowiem ogrom ciekawego materiału, dotyczącego zwłaszcza nie znanych nam relacji anglosaskich. Pozostaje więc poszukiwanie ducha, który inspirował autora i towarzyszył mu przy pracy. Norman Davies czasami lechce przyjemnie nasze poczucie narodowej megalomanii, czasami zaś otrzeźwia nas surowością beznamytnych ocen. Nad tym wszystkim wyraźna jest jednak aura autentycznej sympatii do kraju i narodu. Jego książka jest także dziełem, jak się wydaje, wiarygodnym, a nade wszystko zbyt ważnym, by można je zignorować.

Spojrzenie na naszą przeszłość oczami cudzoziemca ma jeszcze i tę wartość, iż zmusza nas do przyjęcia choćby i takiej refleksji: „Polacy muszą sobie uświadomić, że duża część ich historycznych koncepcji budzi uzasadnione zdumienie. Nikt nie lubi czytać katalogu wiekopomych dokonań jakiejś innej nacji. Oczywiście, każda społeczeństwo musi do pewnego stopnia skupiać swe historyczne interesy na problemach własnego dziedzictwa i rozwoju. Jest rzeczą zrozumiałą, że historycy w kraju, który przeszedł tak traumatyczne zmiany, muszą być w koncepcji narodowej egocentryczni. A jednak wyraźna tendencja do używania historii jako instrumentu umacniania polskiej narodowej świadomości musi zabrznieć nieprawdźliwie w uszach obcego czytelnika [...] Przeszłość Polski jest tak samo burzliwa, skomplikowana i w efekcie bezkonkluzywna, jak każdego innego narodu. Wszelkie udawanie, że jest inaczej, pozostaje tylko złudzeniem”.

Piotr Beck

BARDZO rzadko śpiewa się piosenki o nauczycielach, pisarzach czy urzędnikach — mówi pan Antoni — ale jest za to wiele utworów o marynarzach, kierowcach ciężarówek i o kolei. Do muzyki potrzeba romantyzmu. Ja urodziłem się chyba z silnikiem parowym w środku.

Siedzimy w dużym, wypełnionym słońcem pokoju. Drewniany, parterowy domek przy ul. Turystycznej dzieli mój rozmówca z panią Zofią od ponad pięćdziesięciu lat. Z dawnego gwaru wielu głosów, dziś pozostały już tylko szepty. Dwie rozbudowane rodziny rozpięzły się po świecie, a dwoje współgospodarzy odeszło na zawsze. Na staromodnym kredensie dostrzegam od razu kolorowy model parowozu, a na małej półeczce przy oknie spoczywa granatowa kolejarska czapka. Niemodne dziś pelargonie tłoczą się na wąskim parapecie w przedwiosennym słońcu. Pan Antoni przygląda co chwila dłonią siwiejącą czuprynę.

— Ludzie potrafią kochać ludzi i konie i psy, ale niewielu potrafi kochać rzeczy. A przecież można pokochać samochody, okręty i stare zegary. Ja pokochałem parowozy i dzięki nim przeżyłem największą przygodę mojego życia. Tam, na dworcu, chyba tylko ja jeden płakałem. Od dawna się zastanawiałem, czy nie zapomną o pożegnaniu. W dzisiejszym czasach mało jest sentymentu. Ale nie. Niech pan popatrzy.

Z tekturowej teczki wyciąga pan Antoni wycinek ze „Sztandaru Ludu”. Na dole widnieje data 1 VII 1988. Początek tekstu brzmi: „Punktualnie o godzinie 10.38 tak, jak przewiduje rozkład jazdy, na peron lubelskiego dworca PKP wjechał wczoraj pociąg osobowy z Przeworska. Sapiący parowóz zatrzymał się przy kolejarskiej orkiestrze i dużej grupie ludzi, na twarzach których widać było wzruszenie. Po raz ostatni bowiem na lubelskim dworcu pojawiała się lokomotywa parowa. Po stu jedenastu latach pracy parowozów w Lublinie ustąpiły one ostatecznie miejsca nowocześniejszej trakcji”.

— Dlaczego tak się dzieje, nie wiem? — ciągnie pan Antoni. — Czy miłość można w ogóle wytłumaczyć? Może to cały ceremoniał, który otacza kolej, może to zapach pary, dymu i sadzy; może gwizd lokomotywy w środku nocy; opowieści o strachach naszych pradziadków, gładkość szyn w przedwiozowym mroku, niecierpliwość podróży.

Jeszcze w latach trzydziestych, kiedy inne dziesięcioletki biegały na ląki, żeby kopać pilkę, ja uciekałem z domu, i leżałem godzinami przy torach. Różne tam można było robić rzeczy. Można było przykładać ucho do lśniącej szyny i słuchać, jak narasta głuchy, przyspinający żelazo stukot; można było położyć monetę, by koła splaszczyły ją na placek; można było zakochać się w jakiejś smukłej dziewczynie wystawiającej na wiatr długie, jasne włosy. To było jakby życie przy wielkiej drodze. Lublin stanowił wtedy zlepek brudnych, pełnych martwoty dzielnic. Kolorowe życie klebiło się tylko w centrum i nie dla takich jak my. Kiedyś potrzebowało się dużo wyobraźni, żeby żyć jakoś szybciej i z sensem. A może to nieodmienna prawda, dobra na każdy czas?

Pan Antoni nalewa do ciężkich kryształowych kieliszków ciemnoczerwoną nalewkę.

— To była wielka droga — mówi, — pełna niespodzianek. Wtedy samochody należały do rzadkości, a tu, na Kalinę, prawie w ogóle nie jeździły. Czym więc mogła być szosa? Paskiem brukowanej ziemi, po której smętnie czlapały wychudzone konie. A tory? Tu ciągle coś się wydarzało. Jeździły tędy pociągi do Białegostoku, Wilna, Grodna, Siedlec i Białej. Mógł pan pomyśleć sobie o tych dalekich miejscach, a potem wędrować po szerokich ulicach i rozległych placach. Ale najważniejszy był parowóz — jego dostojność, siła i sprawność. Niech pan pomyśli, czy dzieci kochają „Lokomotywę” Tuwima tylko dlatego, że to dobry wiersz?

Znowu zanurzamy usta w ciepłym płynie. Słucham. Daję się ponieść tej dziwnej pasji, sile tego głosu i czerstwości tego odczuwania.

— Tylko raz obrazilem się na parowóz. Kiedy w 42-gim zostałem wywieziony do Niemiec. Tam nawet loko-

motywy były niedobre. Jakies takie niezgrabne i ciężkie. Tyle tylko, że u bauera poznałem Janka.

Zapalam papierosa, a pan Antoni nalewa jeszcze po odrobinie wódki. Za ścianą, u pani Zosi gra radio. „Co mi, panie, dasz w ten niedobry czas?”

— Nikt nie bzikuje na punkcie parowozu tak, jak Anglicy. Tam dopiero poznałem, co to prawdziwa miłość do kolei. Tam i gdy przyjeżdżali tutaj, żeby robić zdjęcia. Jednego o mało nawet nie zaarrestowali za szpiegostwo. Jak pogodzić pasję z ochroną kolei?

Playwaliśmy z Jankiem do siebie, z dłuższą przerwą w latach pięćdziesiątych. Ja pracowałem na kolei, on wybrał rożyska w jakiejś londyńskiej fabryce. Wiedział dobrze, w jakim kierunku bije moje serce.

— „Przygotowałem ci kolejarską niespodziankę”. To były pierwsze słowa Janka na dworcu. Najpierw pojechaliśmy do muzeum, a potem pewnej niedzieli zawiózł mnie Janek na małą stacyjkę zagubioną w lesie. Stały przed nią wspaniałe samochody, ale byli i tacy, którzy przyjechali tu rowerem lub przywędrowali na piechotę. Wręczono nam takie kolorowe karty wstępu. W środku stacja miała kasy, barierkę przed wyjściem na perony i bufet. Na ścianach wisiały plakaty, które przypominały mi choćby nasze „Cukier krzepi”. Kolejarze też byli ubrani po dawnemu, a konduktor trzymał w ręce zabytkowy dzurkacz. Pociąg stał już na peronie. Tworzyły go cztery pulmanowskie wagony i lokomotywa. O, taka.

Niech pan spojrzy, te książki, które tam leżą, dotyczą parowozów. Niektórych nie potrafię nawet przeczytać, ale bardzo często oglądam wydrukowane tam kolorowe obrazki. Tak, ja musiałem się urodzić z silnikiem parowym w środku.

Przerzucam kartki grubego albumu. Dostojni oficjele w okrągłych melonikach tłoczą się przy parowozie, opaleni na brąz mężczyźni układają długie szyny na pustynnym bezdrożu, bruchate lokomotywy rozmaitych typów wjeżdżają na okopcone dworce lub przepychają się z rozmachem przez rozmaite krajobrazy.

— Co można kochać w maszynie parowej, nie wiem — mówi pan Antoni. — Może to specyficzny zapach, a może magia ruchu, widoczna jak na

Urodził się z silnikiem parowym w środku

Wiesław Horabik

Wie pan, jakie to uczucie, kiedy stoi człowiek z chorągiewką w ręce dzień czy noc? Za każdym razem, kiedy mijają pana wagony, jakby coś zapadało się w panu, a jednocześnie jakby bogacił się pan o nowy, niezany strzępek życia. Czuje pan drżenie, kiedy zapalają się na horyzoncie dwa wielkie reflektory; i smutek, kiedy odpływa w ciemność samotna czerwona lampka. Tak lubiłem to moją pracę, że potrafiłem przychodzić zbyt wcześnie i pozostawać jeszcze długo po tym, jak zjawiał się mój zmiennik. Ciągle miałem o to sprzeczki w rodzinie. Tak, tak — ja musiałem się urodzić z silnikiem parowym w środku.

Pan Antoni wyciąga teraz z tekturowej teczki dwa czarno-białe zdjęcia. Przed frontem starego, powiktoriańskiego domku stoją dwie kobiety, pan Antoni i jakaś mała dziewczynka.

— Janek zaprosił mnie w 1973 roku. Z banku dostałem dziesięć dolarów kieszonkowego. Miało się spełnić moje światowe „rozbeltanie w głowie”. Dotychczas raz do roku jeździliśmy z żoną „w Polskę”. Miałem przecież taki bezpłatny, rodzinny bilet. Ale teraz szykowało się podróże prawdziwa. Najbardziej spodobała mi się tam trawa — taka mocna, soczysta i miękka. Trawa i parowozy.

Z ścianą urywa się piosenka o nie-dobrym czasie. Pan Antoni zdejmuję z kredensu kolorowy model lokomotywy

Oglądam model parowozu z wypisaną z boku nazwą Birch Grove i numerem 473. Z przodu widnieje data 1888.

— Każdy z nas dostał taką pamiątkę. Potem przejechaliśmy trasę około dziesięciu kilometrów, a niektórzy nagrywali na magnetofon sapanie parowozu i stukot kół na złączach szyn. Tak stałem się członkiem Angielskiego Towarzystwa Miłośników Kolei Parowej. Takie przejazdy urządza się tam co tydzień, a wszystkie prace związane z utrzymaniem tego odcinka wykonują członkowie Towarzystwa. Wielu ochotników spędza urlop pracując przy torach. Nikt chyba nie kocha parowozów tak jak Anglicy. I niech pan pomyśli, jak im udaje się czasami cofnąć przeminięty czas.

Do pokoju zagląda pani Zofia, pytając, czy nie mamy ochoty na kuchenki ciastka domowego wypieku. „A pan pewnie wciąż o tych parowozach” — mówi do pana Antoniego z uśmiechem.

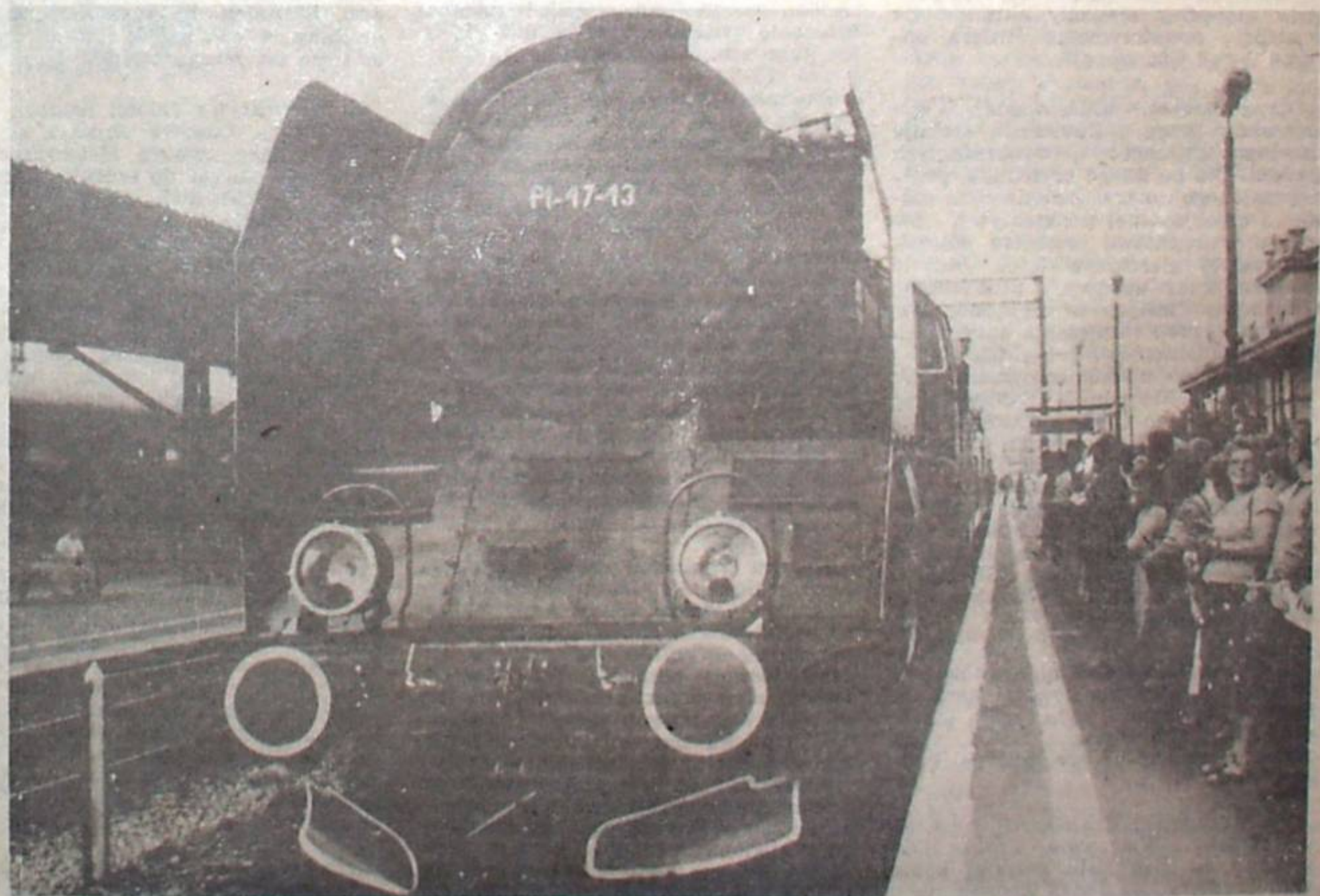
— Nie wiem, jak by to panu wytłumaczyć — cęgnie pan Antoni. — Czy miłość można w ogóle opisać? Moje dzieci nieraz mi mówiły, że nie mam ambicji, że przy otwartej głowie i odrobinie energii mogłem ubić z życiem o wiele lepszy interes. Ale przecież człowiek powinien robić tylko to, co kocha. Inaczej nie dopatrzysz się nigdy sensu w tym wszystkim.

dłoni. Niech pan spojrzy, jak to potężne ramię ciągnie za sobą koła. Czy nie można dostrzec w tym piękna? To jest fiksum-dyrdom starego człowieka. Zbyt wielu ludzi podchwyciło tę pasję. Gdybym umiał pisać, poświęciłbym kolei wiele książek.

Niech pan tylko przetworzy trochę moje słowa. Niekoniecznie musi to być dokładne; żeby tylko było w tym dużo sentymentu. Dziś świat nie jest w niego bogaty. A jednak nadal bardzo rzadko śpiewa się piosenki o nauczycielach, pisarzach czy urzędnikach. Jest za to wiele utworów o marynarzach, kierowcach ciężarówek i o kolei. Do muzyki potrzeba romantyzmu. Ja urodziłem się chyba z silnikiem parowym w środku. Nic innego nie posiada takiego dostojństwa, siły i powagi. A jak człowiek znajdzie w życiu swoją harmonię, to już więcej nie trzeba. Ludzie często nasміwiali się ze mnie i mówili na mnie „poeta”. Nie napisałem nigdy najkrótszego nawet wiersza, ale dużo poezji nosiłem w sobie. Kiedy tamta ostatnia lokomotywa zjechała z dworca, odszedłem na bok i się rozplakałem.

Czy pan też ma taką rzecz, która rozgrzewa pana i ociepla?

Wracałem do domu pustymi, urlopowymi ulicami, myśląc — nie po raz pierwszy — jak wiele reporterskiej prawdy może się ukrywać w napotkanym nawet przypadkowo człowieku.



Wygnanie nie należy do dnia wczorajszego:
Saint-John PersePodaję ci ten kwiat — niski błękit
Pada niedaleko stąd; Nie zwódźRzeki uwięzionej przez lód ani
Opisującej łąki i ogrody. Odepchnij lódz.

Doprowadź

Doprowadź do skoku
Gwiazdy w dzień. NiechRysy nieba nie kuszą cię
Zbyt długo. Niech wstrząsąNocy grzęzną w nie opisanych
Stawach, w których nigdyNie utoniesz. Doprowadź
Do skoku gwiazdy swój cień.

Pomiędzy

Niedoścignione łuki tęczy napięte
Ciałem, które z ciebie wydobywam

Wciąż strzegą tych samych granic.

Jak przeczekać modlitwę do szepotu
Twojego imienia nie mówiąc — ja?Chwilami jedna warga ustępuje
Drugiej — płoną mokre chabry,Płonie oślepiający lód, któremu
Służyłem. Wszystko każe mi żyć.Wszystko, przed czym
Mnie powstrzymujesz.

Dlaczego

Dlaczego nie inny, rozstrzygający
Powrót, ale ten — przez studnię,
Którą kiedyś tak wzniośle omijałaś?Wiatr odwiał naręcze kwiatów
I wysuszył ranę na wysokości
Czoła: Jeden pocałunek mniej.Dlaczego nie uśmiech i nie popiół
Wciąż pomięż tę łzę, ale szybki skręt
Łańcuchów sprowadzonych tu zamiast
powitania?O BĄTUSZKĘ
KTÓRY LATAŁ PTAKIEM

3

Zbigniew Adrjański

NAZAJUTRZ skoro świt raban się wielki uczynił, że Amerykaniec, który hotele i autostrady chce nam budować... nadjeżdża. Pędzą wszyscy na rynek, pędzą i ja, zmęczony po bezsennej nocy i obolały, bo złe przecucia mnie trapią i spać nie dają. Na dzwonnicy Małynicz na prośbę przewodniczącego czatę wystawił. Czata w osobie młodego Jemiołuszki nieźle się spisuje, bo raz po raz Jemiołuszka alarm podnosi, drąc się, jakby go ze skóry obdzierano: Jedzie, bracia! Jedzie!

Ale nikt jakoś nie jedzie, poza bryczką Tielegina, który uroczyście na rynek zajechał. Wreszcie, z daleka, kurżawa się wielka podniosła, z tej kurżawy czarny wóz wyskoczył. Limuzyna ogromna, jak smok, na rynek pędzi. Ledwo żeśmy uskoczyć pod ścianę zdążyli, Jemiołuszka mordę teraz na całego drze, ktoś po Małynicza pognął, ktoś gorączkowo przewodniczącego szuka, który tymczasem spocony i błąd po drugiej stronie rynku kartkę z przemówieniem jeszcze raz czyta.

Wreszcie drzwi limuzyny otwierają się z trudem, bo ludzie wokół się ścisnęli, i wysiada z nich pryk rudy jak Judasz, w słomkowym kapeluszu z szarfą, w ogromnych binoklach na nosie. Wypisz, wymaluj, Amerykaniec! Nasz przewodniczący godnie chce się znaleźć i mowę palną, a ten bezceremonialnie owłosioną łapę do niego wyciąga i szur... szur... coś zagaduje. Przewodniczący aż spasował z przerażenia, tym bardziej, że po ichniemu ani w zab nie rozumie.

Wypychają więc mnie, żebym tłumaczył wszystko dokładnie... Sam zresztą jestem sobie winien, bom niepotrzebnie w knajpie język strzępił na temat jednego Anglika, którego jeszcze będąc w wojsku poznałem. Anglik ten w cyrku Smoleńskiego występował. Dobry był z niego chłop, choć dziwny. Do wódki — na przykład — wody sodowej dolewał! Jadł mało i tylko rzeczy słodkie. Aż obrzydzenie brało patrzeć. A do wszystkich mówił: „Ha! du ju du”. Od niego się właśnie nauczyłem tego: „ha! du ju du” — co po naszymu „jak się masz” oznacza. Ale co innego Anglik, a co innego — obecny tu — Amerykaniec! Anglik — na przykład — był chudy i mizerny, ale uśmiech za to miał przyjemny. A ten zębiska takie do mnie szczyrzy, że mu chyba kobyła Tielegina pozazdrościć może. Anglik pracował przy koniach w charakterze masażera, stąd i zapach miał przyjemny. A ten jakim obcym tytoniem śmierdzi...

Przypchali mnie jednak do niego, więc co było robić:

— Ha! du ju du — grzecznie powiadam.
— Du ju spik inglisz — ucieszył się Amerykaniec i poklepał mnie po plecach.

Zdenerwowałem się jeszcze bardziej, ale również go klepie zapamiętałem, bom w porę sobie przypomniałem, że ich zwyczaj tak każe... Klepiemy się więc tak dobre z pięć minut, aż wreszcie Amerykaniec pierwszy tych poufałości zaprzestął i powiada:

— Ja też mówić trochę po ruski, trochę po polski. Moja babcia być z Białegostoku!

— Co on mówi? — niecierpliwi się przewodniczący.

Kamień mi z serca spadł, że cośkolwiek jednak rozumiem, więc tłumaczę przewodniczącemu wyniośle:

— On mówi, że trochę rozumie po naszymu.
— Jak to rozumie „po naszymu”? — dziwi się przewodniczący.

— Ano zwyczajnie. Rozumie i koniec. Widocznie taki już jest sprytny i wyszcekany w różnych językach.

— Tak powiedział o sobie, że jest sprytny i wyszcekany? — pyta mnie przewodniczący.

— No, tego nie powiedział. To ja mówię... Wystarczy zresztą popatrzeć.

— Ty tutaj nie komentuj — surowo powiada przewodniczący. — Ty lepiej tłumacz do'ładnie. Widzicie go, znalazł się komentator...

— Mogę nic nie mówić — odpowiadam zirytowany. — Ostatecznie sam się nie poradziłem.

— Dobra, dobra — łagodnie przewodniczący — coś się taki raptem honorowy zrobił. Wybadaj go lepiej, czego chce.

Na szczęście Amerykaniec nie słyszy naszej sprzeczki i cały czas wśród ludzi nurkuje. Tego poklepuje po plecach, tamtemu jakies do zucia paskudztwo do gęby wcisnie. Słowem zadomowił się, skubaniec.

— Wybadać go mogę — odpowiadam niechętnie. — Ale serca do tej całej transakcji nie mam.

— Sercem tu się kierować nie można — mówi przewodniczący. — Interes jest interesem.

— Brawo! — wrzeszczy Amerykaniec, który znowu zjawił się obok nas. — Byznes is byznes!

— Co on mówi? — nagli mnie przewodniczący.

— Mówi, że interes jest interesem, obywatelu przewodniczący. Słowem, poglądy ma z wami jednakowe.

— Ty znowu komentujesz — obraża się przewodniczący — a to są za skomplikowane sprawy na twój rozum. Ty lepiej tłumacz, czego on chce.

— Ja chcę wiedzieć — powiada Amerykaniec — czy ten was młody Bułyciński. Pastor... nie, jeszcze fru!... fru!... — I szczyrzy te swoje zębiska w uśmiechu!

— Młody Bułyciński, obywatelu kapitalisto — odpowiadam poważnie — nie jest żadnym pastorem, tylko naszym batuszką. Batuszka, protojerej, Pop prawosławny...

— O! wery tell! Rozumiem — odpowiada Amerykaniec. — Batuszka, ksiądz, pop to jest dla mnie wszystko jedno. Ale czy on jeszcze fru... fru... to nie jest wszystko jedno!

— Widzisz go, jaki tolerancyjny się znalazł! — pomyślałem w duchu, ale głośno odpowiadam:

— Jeśli wam o to chodzi, to batuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, już piąty dzień fru... fru... Tfu!... nad miasteczkiem.

— Londerfol! — rzy ze szczęścia Amerykaniec.



Rys. Tomasz Wilczkiewicz

— Wery interesting. A gdzie on sobie? Fru... fru? Ja koniecznie zobaczyć pastor Bułyciński.

— Pop!

— Może być pop — zgadza się Amerykaniec.

— Gdzie jest on?

— Tam — pokazał przewodniczący, szczęśliwy, że wreszcie coś rozumie.

— Tam — powtórzył Małynicz.

— Tam — ponuro przyświadczyłem, czując się, jakbyśmy naszego Igora Iwanowicza już sprzedali za judaszowskie srebrniki.

— Londerfol! — zarżał po raz drugi Amerykaniec i pędem puścił się w stronę wzgórza. A my za nim! Amerykaniec sapie i dyszy, wspinając się jarem. Wielką chustą pot z czoła ociera. A nam też nielekko, bo raz, że upał wszystko znowu oblepia od rana, a dwa, że na sercu jakoś ciężko. Wreszcie dobiegamy prawie szczytu, gdy nagle krzyk się z tyłu wielki uczynił! To Jemiołuszka telepie się za nami pokracznie i wrzeszczy: „Wracajcie bracia! Wracajcie!”

— Czego się drzesz Jemiołuszka? — pyta go przewodniczący. — Gościa nam wystraszył!

— Wracajcie — powiada cicho Jemiołuszka. — Igor Iwanowicz na plebanii przy boku Jewdokii Iwanownej smacznie chrapie.

— Nie może być! — wścieka się przewodniczący. — Łiesz jak pies, Jemiołuszka.

— A co mi na tym zależy? — hardo odpowiada pomocnik diaka. — Sam na własne oczy widziałem.

— Nikomu z was na niczym nie zależy! — denerwuje się przewodniczący. — Taki byznes nam koło ucha przeleciał! Hotele, autostrada, lotnisko! I co teraz robić? — zwrócił się do mnie.

A mnie tymczasem w sercu wszystkie chóry cerkiewne się z radości rozśpiewały i tylko jedno jedyne słowo przyszło mi w tym momencie na myśl, które w skrytości ducha do Boga wypowiedziałem w dziękczynieniu największym:

— Londerfol!

(Dokończenie nastąpi)

W GRUDNIU 1920 r. Sejm uchwalił ustawy o tzw. osadnictwie wojskowym na północno-wschodnich kresach Rzeczypospolitej, na ziemiach przejętych przez państwo. Ustawy wyodrębniły kwestię osadnictwa z całokształtu reformy rolnej, umożliwiając szybkie stworzenie faktów dokonanych przez rozdysponowanie pozostających w gestii państwa gruntów. Nie ukrywano, iż decyzja o osadnictwie wojskowym była przedsięwzięciem politycznym, mającym wzmocnić żywioł polski na kresach. Gdyby zastosować tam procedurę radykalnej reformy rolnej, oznaczałoby to parcelację polskich majątków i oddanie ziemi w ręce mniejszości narodowych: Białorusinów i Ukraińców. Osadnicy wojskowi — Polacy — osiedlani wzdłuż pasa granicznego, stanowić mieli oparcie dla administracji polskiej, oddziaływać kulturowo w duchu asymilacyjnym na okoliczną nie-polską ludność, przeciwdziałać żywiołowej parcelacji i gwarantować spokój na kresach. Przez okoliczną ludność przyjmowani byli na ogół niechętnie, jako że przybycie ich oznaczało koniec nadziei na otrzymanie ziemi przez miejscowych. Akcja osadnicza rozpoczęła się z początkiem 1921 r. Zamierzano objąć nią około 400 tys. hektarów gruntów, więc znaczny areal (do 1923 r. przekazano osadnikom jednak tylko około 57 tys. ha).

Ministerstwo Spraw Wojskowych, uznając zasługi wojsk gen. Hallera, przeznaczyło dla nich część ziemi na kresach. O możliwościach bezpłatnego otrzymania ziemi powiadomieni zostali na wiosnę 1921 r. także hallerczykowie w Ameryce, zrzeszający się w Stowarzyszeniu Weteranów Armii Polskiej (SWAP). Mimo nie najlepszych wspomnień z Polski, w pierwszej chwili około 4 tys. hallerczyków wniosło podania do konsulów polskich w Stanach Zjednoczonych o nadanie ziemi. Opracowany przez SWAP plan osadnictwa przewidywał wyjazd w zorganizowanych transportach do Polski i osiedlanie się w zwartych 100-osobowych grupach, tworzących osadę. Fundusz potrzebny na zagospodarowanie (Ministerstwo Spraw Wojskowych zalecało, by osadnicy dysponowali kapitałem 300—600 dolarów) pochodzić miał z utworzonego specjalnie w tym celu Banku Pożyczkowo-Budowlanego z kapitałem 100 tys. dol. Zamierzano także założyć, prowadzone przez SWAP, gospodarstwo rolne o dużej powierzchni, które stałoby się schroniskiem dla kilkudziesięciu inwalidów.

W ciągu kilku miesięcy

zebrano wśród Polonii na ten cel przeszło 100 tys. dol., tak więc podstawy materialne osadnictwa zostały stworzone. Jednak akcja osadnictwa w odniesieniu do hallerczyków z Ameryki nie powiodła się, co było zaskoczeniem dla samych organizatorów. Spośród wspomnianych 4 tys. zgłoszeń ze Stanów Zjednoczonych Komisja Kwalifikacyjna Wydziału Osad Żołnierskich MSWoJ. zakwalifikowała na 1921 r. — 508 osób. Zaledwie 10 osób wyjechało w tym roku do kraju, a 20 nadesłało swe pełnomocnictwa dla rodzin w Polsce, co ustawa dopuszczała. W następnym roku zakwalifikowano 200 osób, z których jedynie 20 zadeklarowało chęć wyjazdu do kraju. W lutym 1923 r. Zarząd SWAP uchwalił, iż każdy weteran obejmujący w Polsce nadaną mu ziemię otrzyma z funduszy organizacji pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 200 dol.

Równocześnie delegatura SWAP w kraju, oczekując na masowy przyjazd hallerczyków z Ameryki wiosną 1923 r., uzyskała w Wydziale Osad Żołnierskich rezerwację przeszło 300 działek, organizując nawet dostawę wyposażenia dla przyszłych gospodarstw. Rezerwacja ważna była do maja i wówczas okazało się, że działki trzeba przydzielić innym osadnikom, bowiem weterani z Ameryki nie przyjechali (zaledwie 15 osób w 1923 r.).

Powstaje pytanie, jakie przyczyny spowodowały zmianę decyzji 4 tys. hallerczyków, zdecydowanych pierwotnie na objęcie gospodarstw osadniczych? Fakt, iż przybyło ich jedynie kilkudziesięciu, zaskoczył w równej mierze władze wojskowe w Polsce organizujące tę akcję, jak też Zarząd Stowarzyszenia. O tym, że początkowa liczba zgłoszeń była tak duża, zdecydowały dwa czynniki. Informacja o możliwości otrzymania ziemi przyszła w okresie najcięższym dla hallerczyków, gdy powrócili do objętych powojennym kryzysem Stanów Zjednoczonych, często długie miesiące pozostawali bez pracy. Stąd też mimo nie najlepszych wspomnień, jakie wynieśli z Polski, gremialnie niemal składali aplikacje w konsulatach, zwłaszcza że samo zgłoszenie do niczego ich jeszcze nie zobowiązywało. Zastanowienie przyszło po ogłoszeniu szczegółowych komunikatów, dotyczących warunków obejmowania przyznanego gospodarstwa.

„Petenci otrzymają ziemię bez budynków [...] pomocy na koszt zagospodarowania osadnik nie będzie mógł otrzymać, czyli że osadnik, nie posiadający własnych środków (pieniędzy) na zagospodarowanie, nie może uruchomić nadanej mu osady. [...] Tylko ten osadnik będzie mógł przetrwać następną zimę, który wiosną dokona zasiewów wiosennych” — komunikował „Weteran”, organ hallerczyków.

Pozostający bez pracy lub od niedawna pracujący hallerczykowie potrzebnymi funduszami nie mieli. Nawet uchwalona przez Zarząd SWAP dwustudniowa pożyczka nie rozwiązywała tego problemu, była zbyt mała wobec licznych potrzeb. Stąd też wyjazd do zubożałego, pozostającego jeszcze w

chaosie powojennym kraju wydawał się zbyt ryzykowny. W tych warunkach powrót do Polski nie zapewniał podniesienia stopy życiowej weteranów w porównaniu z życiem w Ameryce w przypadku utrzymania pracy (bezrobotnym pomagało SWAP). Ponieważ mimo kryzysu z miesiąca na miesiąc coraz więcej osób znajdowało pracę i na wrót swe miejsce w społeczności polonijnej i społeczeństwie amerykańskim, do wyjazdu nie dochodziło. Kilkadziesiąt tysięcy dolarów, jakie pozostały w kasie Stowarzyszenia z zebranego funduszu osadniczego, przeznaczono na pomoc dla weteranów na terenie Stanów Zjednoczonych.

Kilkadziesięciu hallerczyków z Ameryki, którzy zdecydowali się objąć gospodarstwa na kresach, zamieszkało wraz z hallerczykami pozostałymi w kraju, a także nie wywodzącymi się z Ameryki, m. in. w osiedlach „Hallercówka” i „Bajanówka” — dobrze gospodarząc i aktywnie działając w organizacjach kombatanckich.

Kończąc opis tego interesującego przedsięwzięcia, dodajmy, iż dalsze losy osadników wojskowych na kresach pełne były dramatyzmu. Po zajęciu przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 r. wschodnich rubieży Rzeczypospolitej osadnicy wojskowi stali się kategorią ludności przeznaczoną w pierwszej kolejności do deportacji na daleką północ i wschód. Część spośród nich wyszła następnie z armią gen.

Hallerczykowie z Ameryki

(4)

Na polskich kresach i amerykańskim bruku

Tadeusz Radzik

Andersa na Bliski Wschód, łącząc się po wojnie ze swymi dawnymi towarzyszami broni w Ameryce.

Znacznie lepsze efekty od osadnictwa na kresach przyniósł zamiar zorganizowania w Polsce folwarku-schroniska dla inwalidów, byłych hallerczyków. Za 30 tys. dol. zakupiono i wyposażono stosownie do potrzeb 300-hektarowy majątek Kuli w województwie pomorskim (powiat brodnicki), pozostały po wysiedlonych obszarnikach niemieckich. Utrzymanie w nim około 20 inwalidów, nawet niepracujących, przy kilkusobowym personelu nie nastręczało większych trudności. Regulamin przewidywał, iż inwalidzi oraz ich rodziny otrzymywać będą całkowite bezpłatne utrzymanie, a ich dzieci bezpłatne wykształcenie. Praca w majątku była dobrowolna i osobno wynagradzana. Inwalidzi-weterani armii Hallera zamieszkiwali w Kuli aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Losy hallerczyków,

którzy powrócili z Polski do Ameryki, również nie były łatwe. Powojenny kryzys dotknął w pierwszej kolejności imigrantów, przeciw którym wydano szereg lokalnych przepisów, dotyczących możliwości zatrudnienia. Przy ograniczonym rynku pracy położenie materialne hallerczyków, wśród których był znaczny odsetek kalek o ograniczonej możliwości wykonywania zawodu, przedstawiało się wyjątkowo źle. W hallerczykach narastało poczucie krzywdy. Byli przecież najbardziej patriotycznym elementem Polonii amerykańskiej. Podczas gdy inni, którzy uchylili się od wstąpienia do wojska, wykorzystali okres prosperity ekonomicznej czasu wojny i zajęli najlepsze miejsca pracy, oni po powrocie z wojny znaleźli się na bruku. Doraźne zapomogi ze strony organizacji polonijnych nie rozwiązywały problemu.

W rezultacie wśród weteranów Armii Polskiej zapanowało przekonanie, iż jedynie zorganizowanie się i wyłonienie własnej reprezentacji może spowodować, iż zabiegi o pomoc ze strony władz amerykańskich, polskich, jak też organizacji polonijnych, przyniosą pożądane efekty. W przeciwieństwie do wielu organizacji kombatanckich, stawiających sobie cele ideowe czy towarzyskie, hallerczykowie, budując swoją organizację, eksponowali wyraźne cele socjalne. Efektem kilkumiesięcznych działań organizacyjnych było powołanie w maju 1921 r. w Cleveland Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej.

Za najważniejsze swe statutowe zadanie Stowarzyszenie uznało pomoc dla inwalidów i bezrobotnych kombatanatów: W myśl opracowanego regulaminu wypłacano im zasiłki w wysokości 10—25 dol. miesięcznie. Fundusze uzyskano ze zbiórki wśród organizacji polonijnych, które ofiarowały na ten cel sumy rzędu nawet kilku tysięcy dolarów. Ignacy Paderewski udzielił indywidualnej zapomogi w wysokości 5500 dol., a w 1925 r. jeszcze 10 tys. dol. Liczono na pomoc ze strony Poselstwa R.P. Okazało się, że daremnie. Część zebranych funduszy przeznaczono na budowę bądź kupno Domów Weteranów w Chicago, Milwaukee i Nowym Jorku. Stały się one miejscem pobytu kilkudziesięciu samot-

nych, niezdolnych do samodzielnego bytu hallerczyków. Co roku w środowiskach polonijnych organizowano tzw. „dni bławatka”, kwestując pod kościołami polskimi i gromadząc w ten sposób fundusze dla weteranów „blekitnej armii”. Pomocą w tych akcjach służył, powołany w 1925 r. przy SWAP, Korpus Pomocniczy Pań. Podstawowe znaczenie miały jednak uzyskane od organizacji polonijnych stałe, roczne subwencje na rzecz SWAP. Gromadzenie funduszy na rzecz weteranów było również powodem dwukrotnego przyjazdu do Stanów Zjednoczonych gen. Józefa Hallera. Po raz pierwszy udał się Haller do Ameryki w październiku 1923 r. jako gość Legionu Amerykańskiego (organizacji zrzeszającej kombatantów minionej wojny) z okazji dorocznego kongresu w San Francisco. Starania władz SWAP o nadanie wizycie gen. Hallera rangi oficjalnej wizyty przedstawiciela rządu nie znalazły zrozumienia w Warszawie. Władze wojskowe pozwoliły mu natomiast występować w mundurze.

Mimo to gen. Haller przyjęty został przez prezydenta Coolidge'a, sekretarza stanu Hugesa i sekretarza wojny gen. Pershinga. Dokonał objazdu 30 miast (zamieszkałych liczną przez Polonię), propagując kampanię zbiorczą na rzecz SWAP. Negatywnym aspektem wizyty Józefa Hallera były ataki na jego osobę ze strony prasy i organizacji żydow-

skich w Stanach Zjednoczonych — jako „moralnie odpowiedzialnego” za tzw. „pogromy żydowskie” na kresach, których dopuszczać się mieli jego żołnierze. Było to echo konfliktu polsko-żydowskiego w Stanach Zjednoczonych, do którego doszło kilka lat wcześniej na tle położenia ludności żydowskiej w Polsce. Jego analiza przekracza ramy niniejszego artykułu.

Druga wizyta gen. J. Hallera w Stanach Zjednoczonych miała miejsce w okresie od lutego do czerwca 1934 r. Podobnie jak poprzednio właściwym inicjatorem przyjazdu generała był Zarząd Główny SWAP, spodziewający się, iż wizyta Hallera przyczyni się do zasilenia funduszy Stowarzyszenia. Tak było w istocie. Rezultatem objazdu większych skupisk Polonii była kwota 75 tys. dol., co pozwoliło na zakupienie schroniska dla weteranów w Detroit i zadatkowanie kolejnego w Chicago. I tym razem wizyta miała dodatkowy aspekt polityczny. Generał znajdował się pod stałym nadzorem konsulatu, uważnie śledzących jego antysanacyjne wystąpienia i w miarę możliwości starających się niwelować ich skutki. Haller nie ukrywał, iż jest przeciwnikiem sanacji. Potępił zamach majowy i formy sprawowania władzy w Polsce. Przeciwnicy Hallera z obozu prorządowego starali się z kolei pomniejszyć jego rolę w historii, określając ją jako dość przypadkową, sugerowali brak talentów militarnych generała, eksponowali osobiste przywary.

Na marginesie tych uwag dodajmy, iż rzeczywiste rola Hallera w historii w dużej mierze była dziełem przypadku, braku bardziej odpowiedniego kandydata na Naczelnego Wodza Armii Polskiej we Francji. Opublikowane w 1960 r. w Londynie jego pamiętniki także nie przekazują nam wizerunku wybitnej osobowości. Niemniej w latach trzydziestych reprezentował nurt demokratycznej opozycji wobec sanacji, a dla dużej części społeczeństwa, a zwłaszcza jego byłych podkomendnych, był po prostu symbolem bezinteresownego patriotyzmu, którego zresztą nie negowali nawet jego ideowi przeciwnicy. Ataki na Hallera wynikały tak z jego opozycji wobec rządu, jak i były konsekwencją sporu: kto odbudował Polskę, trwającego jeszcze przez długie lata i noszącego nie tylko charakter ambicjonalny, bo mającego legitymizować posiadanie władzy.

Mimo licznych zbiorów,

wsparcia ze strony organizacji polonijnych i wizyt Hallera, sytuacja materialna SWAP pozostawała niezwykle trudna. Trudności te pogłębiał fakt, iż nie zdołano uzyskać od władz amerykańskich socjalnych przywilejów dla polskich weteranów: bezpłatnego leczenia w szpitalach wojskowych czy miejsc w domach opieki, które przyznano w Ameryce kombatantom sojuszników armii francuskiej i belgijskiej. Władze polskie z zasady pomocy nie udzielały. Nawet kawalerom orderu „Virtuti Militari”, a było ich w latach trzydziestych w Stanach Zjednoczonych 22, zaprzestawano wypłacania przysługującej im renty, o ile przyjęli obywatelstwo amerykańskie, co czynili, nie mogąc się utrzymać z renty. Rozgoryczenie hallerczyków wzbudzał brak dowodów uznania dla ich patriotyzmu i udziału

w odbudowie Polaki. Gdy z początkiem... dziesiątych na Polonię amerykańską spłynął „deszcz odznaczeń” z kraju, okazało się, iż dekorowani są przede wszystkim sympatycy obozu legionowego, a wśród nich ludzie zwalczający w latach wojny rekrutację do Armii Polskiej. Wśród hallerczyków przyjmowano to z oburzeniem.

Rezultatem trudnego położenia hallerczyków w Stanach Zjednoczonych, nastrojów rozgoryczenia i frustracji było zaobserwowane zwiększenie się podatności tego środowiska na propagandę komunistyczną, zwłaszcza w okresie kryzysu gospodarczego z początku lat trzydziestych. Nie były to może wpływy znaczące, niemniej przy komunistycznej Polskiej Centrali Robotniczej w Stanach Zjednoczonych powstał Klub Weteranów Armii Polskiej.

Na II Zjeździe Centrali w 1933 r. podjęto uchwałę o „zaopiekowaniu się” losem weteranów, zalecając Klubowi Weteranów podjęcie akcji „zorganizowania hallerczyków”. Propagandowo wykorzystywano wypadek śmierci głodowej weterana M. Tomaszewskiego, który wstrząsnął w 1932 r. opinią publiczną Polonii amerykańskiej.

Zdaniem Konsulatu Generalnego R.P. w Chicago, około 90 weteranów z Chicago aktywnie współpracowało z miejscową polską organizacją komunistyczną. By przeciwdziałać tym wpływom, zorganizowano w Chicago specjalny komitet pomocy bezrobotnym i bezdomnym weteranom, a Związek Narodowy Polski ofiarował nawet budynek z przeznaczeniem na kuchnię i schronisko dla nich. Komitet zalecał (bezszykownie), by Ministerstwo Spraw Zagranicznych wyasygnowało chociaż 100 dol. dla SWAP jako pomoc kombatantom, co wywołałoby pozytywny wydźwięk propagandowy.

Stosunek władz polskich

do hallerczyków w Stanach Zjednoczonych i ich postulatów uległ zmianie dopiero pod koniec lat trzydziestych, gdy podjęto wśród Polonii akcję tzw. „konsolidacji”. Jej celem było utworzenie silnego, ponadorganizacyjnego ośrodka, jednoczącego wszystkie „odłamy i orientacje Polonii, a następnie podporządkowanie tego ośrodka czynnikiem krajowym. „Antykrajowa” postawa hallerczyków stała się w tej sytuacji elementem destrukcyjnym w realizacji owej polityki. Należało zaspokoić chociaż część postulatów weteranów. Nie były one wygórowane. VII Zjazd SWAP, odbywający się we wrześniu 1937 r. w Chicago, sformułował ich listę. Domagano się stałej dotacji dla Stowarzyszenia w wysokości 3 tys. dol. rocznie, umożliwienia weteranom zachowania tytułów oficerów rezerwy mimo przyjęcia obywatelstwa amerykańskiego i na podobnych warunkach rent kawalerom „Virtuti Militari”, przyznania hallerczykom przysługujących im odznaczeń: krzyża 10-lecia, krzyża i medalu niepodległości (dla tych, którzy spełniali warunki ich otrzymania) oraz nadania 13 Dywizji Piechoty nazwy „Sokołów Amerykańskich”.

Postulaty te częściowo zostały spełnione. 44 Pułk Piechoty otrzymał nazwę „Legii Amerykańskiej” (jako że dywizje nosić mogły jedynie nazwy terytorialne). Ministerstwo Opieki Społecznej podjęło się wypłacania stałej dotacji rocznej dla SWAP. MSZ wystąpiło do MSWoj. o rozważenie możliwości zmiany przepisów o stopniach wojskowych i rentach dla obywateli państw obcych. Zwrócono się do władz amerykańskich o objęcie hallerczyków opieką medyczną na zasadach podobnych jak weteranów państw sojuszników. Dzieci hallerczyków miały otrzymywać z Polski pomoce szkolne do nauki przedmiotów ojczystych (język polski i historia Polski) oraz uzyskać uprzywilejowaną pozycję przy kwalifikowaniu na studia do Polski. Dla samych weteranów przewidywano wprowadzenie zasady pierwszeństwa w otrzymywaniu posad w urzędach i instytucjach polskich na terenie Stanów Zjednoczonych.

Realizację tego programu przerwał wybuch wojny. „Stary kraj” ponownie znalazł się w potrzebie. Gdy w 1941 r. emigracyjny rząd polski w Londynie podjął próbę rekrutacji na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady do wojska polskiego, zgłosiły się jedynie 772 osoby, przy czym około 450 tys. osób spośród Polonii posiadało jeszcze obywatelstwo polskie. Prócz obiektywnych procesów asymilacyjnych, jakie zaszły, bo zajęć musiały, w okresie międzywojennego dwudziestolecia, na sytuację tę wpłynęła także pamięć losu ochotników z poprzedniej wojny.

Los w końcu uśmiechnął się do hallerczyków. Stało się to jednak dopiero teraz, a więc w czasach, gdy niewielu weteranów pozostało przy życiu. Zakupiony jeszcze w latach dwudziestych przez SWAP budynek w dolnej, biednej części nowojorskiego Manhattanu znalazł się (wskutek zmian dokonujących się w aglomeracji) na obszarze przeznaczonym pod nowoczesne budownictwo mieszkaniowe. Sam budynek niewiele jest wart, ale wartość parceli, na której stoi, szacuje się na około 4 mln dolarów. Tyle pieniędzy weterani nigdy nie mieli. Zaskoczeni nie mogą się zdecydować, czy swą nieruchomością sprzedać i kupić za część uzyskanych pieniędzy budynek w innej części miasta, przeznaczając różnicę w cenie na wsparcie dla najbardziej potrzebujących, czy też przeznaczyć teren na budowę centrum polskiego w Nowym Jorku, które pomieści borykające się z trudnościami lokalowymi: Instytut Józefa Piłsudskiego, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, księgarnię i redakcję „Nowego Dziennika” i oczywiście biura SWAP, a także kilkadziesiąt luksusowych mieszkań, których sprzedaż i wynajęcie zrefunduje wszelkie wydatki. Tym razem okazało się, że w Ameryce pieniądze rzeczywiście leżą na ulicy, konkretnie przy Irving Place 17. Trzeba było tylko poczekać kilkadziesiąt lat.

I etap myślenia

Dlaczego w Polsce nie może być lepiej?

WPRAWDZIE dane statystyczne oraz urzędowe enuncjacje informują systematycznie, że w Polsce jest coraz lepiej, jednak opinia publiczna uważa, że nie jest lepiej, ale gorzej. Jest to oczywiście odczucie jak najbardziej subiektywne, a znaczy ono tyle, że mnie, konkretnemu obywatelowi Iksińskiemu, żyje się dzisiaj gorzej (trudniej, drożej) niż dwa lata temu, a dwa lata temu żyło się gorzej niż trzy lata temu. Subiektywne jest w tym felietonie także rozumienie opinii publicznej. Otóż są to ci, którzy chodzą po ulicach, sklepach, parkach, kawiarniach, odprowadzają dzieci do przedszkola, gniotą się w trolejbusach, autobusach i pociągach, a także ci, którzy kupują warzywa na targu, a wódkę w Pewexie. Ci wszyscy ludzie wypowiadają z reguły jakieś zdania na temat rzeczywistości i jeżeli ktoś słucha takich zdań przez — powiedzmy — rok, to może uznać (bez przeprowadzania kosztownych badań ankietowych), że wie, jakie jest tzw. odczucie społeczne czy — mówiąc inaczej — opinia publiczna.

Pamięć ludzka jest najczęściej krótka, a dziesięć czy piętnaście lat to dla dzisiejszego trzydziestolatka cała epoka, dlatego rzadko czyni się porównania z tak zamierzchłą przeszłością. A jednak żyje się dzisiaj także gorzej niż w roku 1978, a nawet 1973. Takiego cofnięcia cywilizacyjnego nie zna żaden ustrój ani żaden kraj, dlatego nigdy dosyć zastanawiania, co stało się w PRL w latach 1980—88. Nigdy, to znaczy dopóty, dopóki nie uruchomione zostaną polityczne i ekonomiczne mechanizmy dźwigające kraj z tej zapaści.

Nie jest zadaniem dziennikarza podawanie skutecznych recept, uważam, że dziennikarstwo jest przede wszystkim szukaniem dziury w całym. Od naprawiania są fachowcy, w pierwszym rzędzie politycy. Skoro jednak politycy funkcjonują w świecie, gdzie nie obowiązują twarde reguły życia i utrzymania się przy życiu, pozwolę sobie na parę uwag, które przychodzą do głowy każdemu, kto zastanawia się nad rezultatem 44 lat budowania w Polsce socjalizmu.

Na pierwszy ogień weźmy tzw. „czynnik ludzki”, o którym przez wiele dziesięcioleci pisano, że „nie dorósł”, że „brak mu świadomości”, że „należy go wychować” itp. Dobrym śladem tego rozumowania jest zwrot „praca z ludźmi”, jedno z elementarnych hasła tzw. pracy ideowo-wychowawczej, prowadzonej przez różnego rodzaju organizacje polityczne. Jaki więc jest ten „czynnik ludzki”, który zdaniem władzy sprawia tylko same kłopoty?

Uważam — że na pierwszorzędnym poziomie. Gdyby nie mrówcza, uparta praca polskiego chłopca na swoim, już dawno nie byłoby w kraju co jeść. Ale po 44 latach wdrażania zasady, że przyszłość rolnictwa w PRL należy do sektora socjalistycznego, chłop jest już zmęczony. Z roku na rok powiększa się areal ziemi leżącej odlego. Państwo nie jest w stanie tej ziemi zagospodarować. Jeżeli zatem nie zmieni się radykalnie polityka wobec wsi, za kilka lat staniemy wobec widma niedostatku żywności, a nawet prawdziwego głodu (kartofle i chleb na kartki). Nie jest to moje gdybanie, ale diagnoza wybitnego znawcy polskiej gospodarki — Józefa Kuśmierka. Kuśmierek pisze od czterdziestu lat i jeszcze ani razu nikogo nie oszukał, dlatego wierzę jemu, a nie urzędowym optymizmom.

Jako społeczeństwo jesteśmy dzisiaj w zdecydowanej większości potomkami chłopów. Jak to więc jest, że chłop potrafi wyżywić siebie i innych, zapłacić podatek, wyposażyć dzieci w mleczko, kupić samochód i jeszcze zostaje mu trochę na

wódkę i inne przyjemności? Ten sam chłop, kiedy pójdzie do miasta na posadę czy do fabryki, pracuje natomiast tak, że jako państwo mamy ogromne długi, a mówiąc inaczej: pracując „na rządowym”, nie potrafimy jako społeczeństwo — zarobić na własne utrzymanie. Aby odpowiedzieć na pytanie: kto winien — „czynnik ludzki” czy czynnik rządowy? — sięgnijmy po parę przykładów z przeszłości.

W latach 1820—30 Królestwo Polskie było najszybciej rozwijającym się krajem Europy. Działo się to zaledwie 5 lat po Kongresie Wiedeńskim, który uwieńczył pokojem kilka lat wyczerpujących wojen. Wysiłku wojskowego, jaki w latach 1807—1813 poniosło Księstwo Warszawskie (zwycięska wojna z Austrią i przyłączenie do Księstwa części ziem zaboru austriackiego, ponoszenie kosztów stacjonowania armii francuskiej, wreszcie wyposażenie wojska i udział w wyprawie Napoleona na Moskwę) bez żadnych kredytów zagranicznych, nie da się porównać z żadnym przedsięwzięciem gospodarczym, jakie podejmowano później (oczywiście w odpowiedniej proporcji do potencjału ekonomicznego i ludnościowego). I oto w pięć lat po przywróceniu części Polski (wzrostkowej wolności politycznej (ale całkowitej wolności ekonomicznej) nikt w kraju nie mówi już o żadnym kryzysie. Żadnego kryzysu po prostu już nie ma.

Na początku lat trzydziestych obecnego wieku do Polski dotarł z Zachodu poważny kryzys gospodarczy. W roku 1938 po kryzysie tym nie było już śladu. Przeciwnie: Rzeczpospolita wkroczyła w okres prosperity. Każdy, kto pamięta tamte lata, przyzna, że rok 1930 i 1938 to były dwie różne epoki i sam wygląd ulicy informował, że kraj szedł wyraźnie do przodu. A pamiętać trzeba, że zagranicą kapitaliści inwestowali w Polsce wyjątkowo niechętnie, ponieważ uważali Polskę za „państwo sezonowe”. Z tego też tytułu niezwykle trudno przychodziło nam uzyskiwać kredyty, a jeżeli je zdobywano, były to na ogół pieniądze niewielkie. Tak więc w obu tych przypadkach z kryzysów wyszliśmy o własnych siłach, i — co najważniejsze — było to wychodzenie tak błyskawiczne, że po kilku latach nikt już o kryzysie nie pamiętał.

I jeszcze jeden budujący przykład z historii. Przed rokiem 1914 rolnictwo Wielkopolski było najlepsze w całej Rzeszy, lepsze niż francuskie i duńskie. A działo się to w sytuacji, gdy popierany „sektor niemiecki” i zwalczany „sektor polski” nie podlegały identycznym prawom, podatkom, kredytom. Jednak wóz Drzymały możliwy był w Wielkopolsce, ale nie w Kongresówce, gdzie — nie zważając na ustawy — szybko załatwiłaby problem sennia Kozaków. Dlaczego? Otóż w cywilizacji Zachodu przyjęło się, że prawo służy obronie własnych, prywatnych interesów obywatela i szacunkiem cieszy się ten, kto potrafi wykorzystać prawo dla własnych potrzeb. W cywilizacji Wschodu (której w tym względzie PRL jest nieodrodną córką) zwyciężył pogląd, że każdy, kto w konflikcie z państwem wykorzystuje prawo na swoją korzyść, jest wrogiem państwa, należy zatem mu w tym przeszkodzić za wszelką cenę.

Cenę tej filozofii, która ukształtowała kilka pokoleń urzędników i funkcjonariuszy wszystkich szczebli władzy i zarządzania, płacimy dzisiaj wszyscy. Zgadza się z Kisielcem, że nie jest to kryzys. To jest rezultat.

AWP

Wiesław Pomorski

L - czterdzieści i cztery

Jeśli cię stos problemów
Na co dzień wagą przygniata,
Pamiętaj, że zgłosić możesz
To w postulatach.

Jeśli zaś masz dylemat,
Co robić, i w sercu go chowasz,
Nie czyń tak, bo zawsze możesz
Go skonsultować.

Jeśli cię nawis ciśnie,
Aż w krzyżu ból masz potworny,
Nie tam się, bo wsparcie znajdziesz
W duchu reformy.

I jeśli nawet wtedy
Stwierdzisz, że jest ci coś nie tak,

Jak chciałbyś, to nie narzekaj,
Bo drugi etap...

A gdy Temida ślepa
Twoje błędy zacnie wytykać,
Pomocną dłoń wtedy znajdziesz
Swego rzeczownika.

Racja, że czasem boli,
Lecz znasz recepty; w tym celu
Korzystaj z nich bez skrępowań,
OBYWATELU!

kamena

Ostatnia walka 27 Dywizji AK

Dokończenie ze str. 7

kilometra od stacji, po przecięciu szosy (ul. Lipowa) wiodącej w stronę Kozłówek, Kamionki i Michowa (znajduje się w tym miejscu strzeżony przejazd kolejowy), tor skręca łagodnie w prawo, wchodząc w rozszerzającą się coraz bardziej płytką dolinę o dość stromych zboczach, nazywaną przez tutejszych mieszkańców „Karię”.

Właśnie u wejścia w „Karię”, kilkadziesiąt metrów za przejazdem kolejowym, pociąg został przechwycony przez inne oddziały 27 Dywizji i miejscowy pluton AK. Nadszedł szybko zmierzając; na niebie nad miastem pełno było różnokolorowych tras pocisków zapalających; wznosił się grzechot serii broni maszynowej. Walka o pociąg miała trwać do późnej nocy...

Opowiadano potem, że maszyniście udało się odczepić parowóz i odjechać w stronę Parczewa. Mówiono też, że w ciemnościach nocy wycofujący się Niemcy usiłowali sprowadzić z niektórych lor samochodowy, układając wysokie pomosty ze snopów świeżo skoszonego zboża.

Podczas walki zginął jeden z partyzantów 27 Dywizji, mieszkaniec Kowla. Pochowano go na miejscowym cmentarzu, na skraju kwatery żołnierzy poległych w 1939 r., niedaleko studni. Drugi żołnierz był ciężko ranny. A pociąg, coraz bardziej głośniejszy z przewożonych nim wojskowych dóbr, stał jeszcze kilka dni na torze. Dopóki — już po przejściu frontu — nie przysłano po niego parowozu.

Pierwszy dzień wolności

Od wczesnego niedzielnego ranka 23 lipca 1944 r. Lubartów już pełną pierśią oddychał wolnością. Żołnierze AK wylapywali ostatnich niemieckich maruderów. Pluton ppor. „Lekarza” wziął do niewoli osiemnastu Niemców. Wchodzili następnie oddziały 27 Dywizji...

O godz. 9.00 — czytamy w kolejnym meldunku dziennym dotyczącym realizacji planu „Burza” — przybył do miasta pierwszy czołg sowiecki, który nawiązał kontakt z dowództwem 27 dp i z miejscowym obwodem AK. O godz. 10.00 wmaszerował do Lubartowa pluton ppor. Igi z Firleja (Jerzego Domaradzkiego — przyp. MD) i zakwaterował w szkole. Kiedy już Lubartów

całkowicie był wolny od okupanta, o około godzinie 12.00 weszły oddziały AL wraz z oddziałem sowieckim. W tym czasie WSA (Wojskowa Służba Apropowizacyjna — przyp. MD) zorganizowała posiłki, które wydano oddziałom własnym, sowieckim i AL. O godz. 14.00 d-ca AL płk. Korczyński żąda od d-cy 27 dp opuszczenia miasta przez oddział AK, na co d-ca 27 dp oświadczył, że opuszczenie miasta jest zgodne wól, oddziałów [tak w tekście — przyp. MD] i o godz. 16.00 Lubartów opuszczono i zakwaterowano w m. Nowy Dwór.

Michał Fijałka przedstawia w swojej książce te wydarzenia trochę inaczej:

Około godz. 10.30 do miasta wjechał czołg sowiecki z oficerem. Doszło do spotkania z por. „Bratkiem”, kpt. „Hrubym” i kpt. „Rokiczem”.

Gdy oficer radziecki odjechał, pojawił się ze swoim sztabem płk. „Grzegorz” Korczyński, który rozkazał „Rokiczowi”, aby oddziały AK natychmiast opuściły Lubartów. Podobna scena powtórzyła się raz jeszcze w jakimś czasie

później, gdy Korczyński pojawił się w budynku szkolnym ponownie; dzwolił wówczas do spotkania oraz wymiany zdań z przybyłym już do Lubartowa dowódcą 27 Dywizji AK płk. „Twardym” (Janem Kłoczkiewiczem).

„Twardy” spokojnie odpowiedział — pisze Fijałka — że zna swoje zadania, które nakazują mu być uciekającym Niemców, i że Lubartów opuści wtedy, gdy uzna to za stosowne. Płk Korczyński był zupełnie odmiennego zdania.

Ostatecznie jednak, po południu 23 lipca oddziały 27 Dywizji zaczęły opuszczać Lubartów. Oddział m. oddziałem, w szyku czwórkowym, maszerował ulicą Lubelską, potem przez Rynek. A dalej obok miejskiego szpitala kompanie skręcały w lewo, w ulicę Lipową, kierując się w stronę Kozłówek i Kamionki, i śpiewając:

March, marsz Polonia,
Ty dzielny narodził się —
Odpocznijmy po swej pracy
W ojczyznej zagrodzie...

Rozbrojenie

Kamionka była dla batalionu „Jastrzębia” ostatnim miejscem postoju Leon Karłowicz wspomina, że tam właśnie 25 lipca 1944 r. otrzymał wraz z innymi żołnierzami rozkaz przygotowania broni i umundunowania „do defilady”. Która — jak mówiono w od-

Większy przepis na domek

Dokończenie ze str. 1

stamentowym spadkobiercom. Jesteś bowiem polskim mężczyzną, zdemolowanym wewnątrz różne dodatkowe roboty, których się ciągle imaleś dla dobra rodziny, ulegając halaśliwej presji twoich domowych emancypantek. Obecnie, kiedy starasz się o kredyt, masz lat czterdzieści, zatem wedle statystyki nie dobiegniesz siedemdziesiątki. Banki wiedzą, co robia, niechętnie udzielają kredytu osobom samotnym, po pięćdziesiątce. Jedyna pociecha w tym, że umierając dasz wreszcie (Murzyn zrobił swoje) pożytek innym, którzy z miejsca wynajmą twój pokój — ohyba za 100 tysięcy, skoro dziś bierze się za to i 15 „kaflów”.

Tymczasem stoisz w kolejce i zastanawiasz się, czy wziąć jeszcze jeden kredyt. Rzecz w tym, że powierzchnia użytkowa twojego przyszłego domu przekroczy bankowy normatyw i sięgnie, powiedzmy, 120 m kw., albo i wyżej, co zresztą powszechne w tego rodzaju budownictwie. Powtarzasz sobie, że tani kredyt podstawowy możesz otrzymać tylko na powierzchnię o górnej granicy 95 m, ale co z resztą? Niby znasz wyjątki z takiej sytuacji: jeśli wspomniany normatyw zostanie przekroczony o maksimum 25 proc., bank może udzielić ci kredytu na 9 proc., jeśli więcej — odsetki podskoczą do 15. Takie drogie kredyty obejmują oczywiście tylko te fragmenty całej powierzchni użytkowej, które przewyższają kanoniczny metrąż „95”.

W końcu, jako człowiek przeciętny, skłaniasz się do obiegowej opinii, że zaciąganie droższego kredytu jest nieopłacalne. To, co przekroczy „95”, wybudujesz przy pomocy własnej kolekcji złotych.

Nie masz zresztą pewności, czy uzyskalbyś ów dodatkowy kredyt. Bank jest instytucją polityki społecznej i gospodarczej, może, ale nie zawsze musi „dawać”. Wspomagając obywatela w szybkiej budowie domu faktycznie jednorodzinne, wręcz popędzając go do roboty, ma na uwadze fakt, że w odpowiednim czasie człowiek ten zwolni dotychczasowe mieszkanie, zajmowane np. w bloku spółdzielczym. Co prawda ludzie próbują czasami wykolować banki, administrację i samorządy osiedlowe, przepisują domy na małoletnie dzieci, albo przeciągają budowę w nieskończoność, by potomstwo zdążyło się postarzyć, to znów decydują się na taktyczne rozwody (które kończą się niejednokrotnie faktycznym krachem rodziny), ale trudno powiedzieć, że praktyki takie są nagminne. Z drugiej strony bank podchodzi ostrożnie do klienta, który nabral apetytu na coś ponad zwykłą

miarę, a wreszcie zamyka kase przed kimś, kto zapragnął wzniesić sobie pałac o powierzchni całkowitej np. 500 m kw. Jesteś bogaty — buduj na koszt własny nawet nowy Pałac Kultury i Nauki.

Te ostatnie przykłady mają oczywiście charakter abstrakcyjny, bo w myśl obowiązujących przepisów nie wolno w miastach wznosić domów typu MNJ, których powierzchnia całkowita byłaby większa od 220 m kw. Odstępstwa od tej zasady dotyczą tylko pojedynczych środowisk zawodowych. Na przykład rzemieślnicy: proszę bardzo, możecie panowie dodać do wspomnianej normy jeszcze 50 m kw.

Wszyscy oszukują

Ale te ostatnie przykłady mają posmak abstrakcji tylko dla kogoś, kto w przepisach grzebie i świata nie widzi, na którym rosną eleganckie budowle „jednorodzinne”, kryjące po dwa garaże, sauny, ogromne living-roomy i pokoje dla służby.

Jak to możliwe? „Wszyscy oszukują” — twierdzi znany architekt.

W jaki sposób? „Przed spodziewaną kontrolą piwnice zasypuje się piaskiem, to znów kładzie się tymczasowe dachy, by w bezpiecznym czasie błyskawicznie podciągnąć mury «ciut» wyżej i zamienić stryszek w trzecią lub nawet czwartą kondygnację, oczywiście niezgodnie z projektem. Z niezłym skutkiem stosowana jest ponadto metoda poręcznika Koniakowa. Istnieją inne, bardziej wyrafinowane techniki samowoli”.

Wśród architektów, ciągle zresztą zmuszanych do dwuznacznych kompromisów zawodowych, słyszy się opinie, że pora już na taką zmianę przepisów prawa budowlanego, by możliwe stało się legalne, wspomaganie nawet wysoko oprocentowanym kredytem bankowym, wznoszenie domów o powierzchni znacznie większej od 220 m kw. „Są przecież ludzie bogaci, których na to stać”. Obecne zasady kredytowania, pod pewnymi względami niewątpliwie korzystne, nastawione są na szybkie uzyskiwanie efektów budowlanych, wpływając jednak na ograniczanie powierzchni MNJ — konstatają architekci.

Bankowcy ripostują: o czym tu mówić, skoro wszyscy wiedzą, jak wygląda problem mieszkaniowy w Polsce. I jeszcze raz podkreślają, że walory kredytu podstawowego są niebywale, czynią zeń właściwie kredyt socjalny. No i dyskretnie sugerują, że spłacanie owej pomocy powinno być ograniczone do lat dwudziestu.

Faktem pozostaje, że w stosunku do minionego roku mieszkalnictwo niskie rodziny w Polsce zwiększyło się znacznie.

Stwierdzenie: „wszyscy oszukują”, jak oznajmił cytowany architekt —

niestety, doskonale zorientowany w sprawie — jest zapewne dyskusyjne, mieści się w porządku moralno-poznawczym, który organizuje popularna ostatnio opinia, że „bogaci zyskują wpływy, a wpływowi się bogacą”.

Inna sprawa, że: Na skraju jednego z osiedli lubelskiej spółdzielni mieszkaniowej „Czuby” wystawiono, jako „planowane uzupełnienie tkanki wielorodzinnej”, wianuski domów jednorodzinnych. Zamysł wstępny, idealny, przeznaczony dla osób, które powinny znaleźć lepsze czy obszerniejsze miejsce do życia ze względów zdrowotnych, rodzinnych lub z uwagi na specyfikę wykonywanego zawodu. W rzeczywistości przestrzeń ta zdominowana została przez ludzi wpływowych, albo bogatych, co zresztą coraz częściej chadza w parze.

Druga sprawa: W beczeremonialnym łamaniu prawa i norm etycznych podczas budowania osiedla cukrowników na „Górkach” prym wiodły osoby zamożne i nie pełniące trzeciorzędnych ról społecznych... Ty przecież jesteś człek przeciętny, swoją największą rolę życiową, habarbnika, zagrałeś na scenie teatryku szkolnego. Na razie myślisz tylko o kredycie.

Kiedy przychodzi twoja kolejka, przedstawiasz stosowne dokumenty urzędnikowi banku.

W porządku. Pytasz, czy możesz od razu skorzystać z kredytu.

Nie — słyszysz w odpowiedzi — tymczasem przyjęliśmy sprawę do ewidencji. Kredyt zostanie uruchomiony wówczas, kiedy obywatel wyprowadzi budowę do stanu zerowego, czyli wymuruje piwnice ze stropem. Jeśli to nastąpi, pojawi się u was nasza kontrola, zwana przedwstępna, która sprawdzi zgodność robót z projektem oraz ilość i asortyment zgromadzonych przez pana materiałów budowlanych. Pomyślne wyniki kontroli spowodują uruchomienie kredytu.

Nie ulega wątpliwości, że bank chce ci pomóc, zachęca do konkretnej roboty, ale zgodnie z kardynalną zasadą kredytu podstawowego nie będzie finansował wszystkiego.

Teraz szukasz fachowca od murywania sposobem gospodarczym, najtańszym z możliwych.

Znajdujesz go: sprawią wrznięcie człowieka bystrego, a co ważniejsze — posiada „papiery”, czyli uprawnienia do tzw. samodzielnej funkcji technicznej w budowaniu metodą gospodarczą.

Kiedyś domy jednorodzinne w technice gospodarczej mógł lepić właściwie każdy murarz, wspomagany przez właściciela działki i jego krewniaków. I wtedy właśnie szczególnie żwawo rosły w górę cuda-niewida: niezgodne z projektami świadectwa samowoli budowlanej, pazerność, jaskiniowej kul-

tury — jawne szyderstwa z prawą i z reguł choćby poprawnej architektury. Tej robocie przyświecała tylko jedna idea: byle wyżej, byle więcej metrów zyskać!

Do roku 1980 przepisy budowlane nie miały zresztą tej ostrości, której nabraly później, przynajmniej formalnie, w odniesieniu do MNJ.

Rzecz jasna, władze budowlane ciągały przed kolegią orzekające takich inwestorów, gdzie zwykle karano ich — ale śmieszna kwota do 50 tys. zł grzywny, lekką ręką płaconą przez właścicieli działek. Niejedną sprawę skierowano też do organów ścigania, by usłyszeć w odpowiedzi, że ze względu na nikły stopień szkodliwości społecznej w ogóle nie ma o czym mówić. Z tegoż względu sądy z zasady uchylały decyzje władz budowlanych o doprowadzeniu przemyślnie zdeformowanych budynków do stanu pierwotnego, zgodnego z projektem. Procedura odwoławcza w tej sferze jest zresztą taka, że rozciąga żywot sprawy na miesiące i lata, podczas których inwestor spokojnie kontynuuje swoje dzieło.

Zrodziło to wśród wielu ludzi poczucie bezkarności.

W rezultacie na Węglin, Dziesiątą, Ponikwode, okolice al. Kraśnickiej czy Sławin i Sławinek spadła pokraka jednorodzinna, która faktycznie i niezrządno jest zupełnie inna: wielopokoleniowa i mnogorodzinna.

Ciężkie pudła i dziwołagi

Według planów przestrzennego zagospodarowania miasta taki Sławinek miał być dzielnicą willową, zanurzona w zieleni, po prostu przyjemną i wygodną. A co tam jest rzeczywistość, każdy widzi: ciężkie, materiałochłonne pudła, albo wręcz dziwołagi budowlane, które tłamszą pojedyncze obiekty sensownej architektury, wychylające się przeciw tu i ówdzie z oczeretów popospolitości. Zamiast 8-metrowej wysokości, zdeterminowanej m.in. powierzchnią typowej działki, wiele z tych domów sięga 16 m i liczy nawet pięć kondygnacji, co powoduje zaciękanie sąsiednich budynków i stwarza możliwości wzajemnego podglądania się sąsiadów. Miał być komfort, a są bloki nowej generacji.

O praktycznej degradacji zamysłu willowej dzielnicy zdecydowało przeciw coś jeszcze: realna gęstość zaludnienia, która kilkakrotnie przewyższyła planowane wskaźniki.

Zdecydowana większość właścicieli domów „trzymają” sublokatorów. Bywa, że gospodarze gnieźdzą się w kuchni, całą resztę, łącznie z piwnicami, wynajmując osobom różnym, których liczba sięga 15, bodaj więcej! A czynsz miesięczny za takie lokum wynosi nawet 15 tys. zł.

Można to uznać za dramatyczny przyczynek do potocznej wiedzy o sytuacji mieszkaniowej w Lublinie.

Można stwierdzić, że nowi kamienicznicy zasługują na pewne zrozumienie i przychylność, albowiem jakoś tam przyczyniają się do złagodzenia owej sytuacji.

Można jeszcze to i tamto, ale nie wolno przeczyć, że sprzeczne z pla-

działe — ma się odbyć w niedalekim Skrobowie, miejscowości położonej przy szosie Kamionka — Lubartów. Niestety, była to wieś bez pokrycia. Wkrótce miał nastąpić tragiczny finał historii 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej; została ona rozbrojona i uległa rozwiązaniu.

Fakt ten miał miejsce nocą z 25 na 26 lipca i był kompletnym zaskoczeniem dla czterech i pół tysiąca żołnierzy 27 Dywizji, którzy spodziewali się, że wkrótce wyruszą do dalszej walki.

Były to tragiczne godziny dla pułkownika „Twardego”, równie ciężkie i niełatwe zapewne dla radzieckiego generała majora Bakanowa, który musiał mu tę ostateczną decyzję swobód władz wojskowych zakomunikować.

Komentując ów dramatyczny fakt, Piotr Stachiewicz tak pisał w 1986 r. w swym „Wprowadzeniu” do książki Michała Fijałki „27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK”:

26 lipca 1944 r. po 191 dniach ciężkich walk 27 Dywizja Piechoty Armii Krajowej została rozkazem dowództwa rozwiązana. Część jej żołnierzy została uwięziona głównie w więzieniu na Zamku w Lublinie w związku z deklaracją Marszałka J. Stalina, według której władze radzieckie nie tolerowały obecności żadnych oddziałów zbrojnych na zapleczu frontu wschodniego. Generalnie należy stwierdzić, że

całokształt sytuacji na tych i analogicznych terenach miał swoje źródło w braku ustalenia stosunków politycznych i dyplomatycznych pomiędzy rządem Polskim w Londynie i rządem Związku Radzieckiego. Wszystko to spowodowało, że nie istniała wspólna platforma, na której można by było rozstrzygnąć wszelkie sprawy sporne i poszukiwać możliwości porozumienia.

Tak to wszystko wygląda z perspektywy lat ponad czterdziestu. Ale wówczas?

Starszy strzelec Leon Karłowicz, stojąc wraz z kolegami w szeregu przy drodze wiodącej do Skrobowia i nie mogąc doczekać się zapowiadanej defilady, zobaczył nagle dowódcę batalionu „Jastrzębia”, jak szedł w ich kierunku błędnie, zmieniłony nie do poznania. „Jastrzęb” wydał komendę: „Zagiąć skrzydła!” Uformowali się w czworobok. Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy. O niczym jeszcze nie wiedzieli, niczego nie rozumeli. Aż wreszcie „Jastrzęb” nieswoim głosem powiedział tych kilka zdań: „Kończy się nasza wojna. Mamy zdać broń. Jesteśmy otoczeni. Musimy złożyć broń”. I tyle. Potem „Jastrzęb” wyjął grubą paczkę pieniędzy i każdemu żołnierzowi wręczał po pięć dolarów. Na pierwsze potrzeby. Bo już teraz nie będzie za nich „myślał” Dywizja, tylko oni sami będą się musieli nauczyć troszczyć o swój los.

I potem kolejno kompania za kompanią, batalion za batalionem, wchodzili na dziedzińce przed budynkami dawnego „Sejmiku” w Skrobowie. I na rosnącą coraz wyżej stertę broni rzucał także swoją broń, która im dotąd wiernie służyła. A jeszcze później, w jakiejś okropnej, przerażającej, na zawsze zapamiętanej ciszy, ruszyli w kierunku pobliskiego lasu. I tam, w tym lasku, słychać było w nocnej ciemności stłumione łkanie setek mężczyzn... Aż nagle gdzieś z boku doszły ich dziewczęce głosy. To sanitariuszki, łączniczki, dziewczyny z dywizyjnej łączności wyśpiewywały pełną piersiawesołe partyzanckie piosenki. Wielu chciało je uczyć grubym, żołnierskim słowem. Śpiewała w takiej chwili! Lecz one nie śpiewały z radości. I także nie na przekór rozpacz. Ale dlatego, aby zagłuszyć warkot ręcznej turbiny dywizyjnej radiostacji, która słała w eter ostatni meldunek.

Rano Dywizja, już bez broni, ale całą siłą, pomaszzerowała bocznymi lasami, omijając Lubartów, w stronę Lublina. Aż do położonej niedaleko Niemiec miejscowości Stary Tartak, gdzie piki „Twardy” zarządził ostatnią odprawę oficerów. I stąd już wszyscy żołnierze rozeszli się w różne strony świata. Wielu poszło ku Lublinowi. Część skierowała się w stronę Buga, ku rodzinemu Wołyniowi.

Leon Karłowicz podążył w stronę Lublina, który znał tylko z nazwy. Nie wiedział wtedy, że wiąże się z tym miastem i jego niedaleką okolicą na resztę życia. Ze skończy w Lublinie gimnazjum dla dorosłych, że zrobi potem studia historii na KUL-u, i że w 1948 r. zacznie pracować (na poleceniu mu przez jakiegoś kolegę stanowisku nauczyciela) w Liceum Pszczelańskim w podlubelskiej Pszczelowej Woli. Pozostał tam do dzisiaj. Mieszka w Pszczelowej Woli razem z żoną Alicją, z którą poznali się jeszcze we wczesnej młodości na Wołyniu i z którą razem przeszli szlak 27 Dywizji.

W 1984 r. „Środowisko Żołnierzy 27 Dywizji AK” działające przy Zarządzie Głównym ZBoWiD, ogłosiło wśród członków konkurs na wspomnienia partyzanckie. Leon Karłowicz otrzymał pierwszą nagrodę w owym konkursie za swe niezwykle interesujące, a w dodatku pisane bez przemilczeń i retuszy, wspomnienia. Liczący czterysta stron maszynopis — zatytułowany: „Od Zasmak do Skrobowia. Wspomnienia żołnierza z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK” — leży w szufladzie, czekając na wydawcę. Takiego, który zdecydował się na opublikowanie go w całości. Nie stroniąc od „białych plam” historii, wypełnionych tutaj ręką Leona Karłowicza.

Mirosław Derecki

nem zatłoczenie dzielnicy fatalnie obniżyło indywidualne i społeczne standardy życia, powodując np. niedostatek różnorodnych usług i zniszczenie bujnej tu niegdyś zieleni, którą skądinąd przestaliśmy już podobno cenić wyłącznie w kategoriach estetycznych. Czy jednak takie fakty i argumenty trafiają do przekonania obywatelstwa, które wychowane w warunkach permanentnego niedostatku dóbr popadło w złudzenie, że interes społeczny mierzy się przede wszystkim ilością: wyprodukowanych mieszkań, samochodów, maki, przedstawień teatralnych, kartofli, filmów, świńiaków, amatorskich zespołów artystycznych...

Lamiąc prawo zbudowałeś dom szkaradny, czerpiesz zeń krociowe zyski, ale cóż to: „Przecież ludzie znaleźli dach nad głową!”

Wiadomo, dobro człowieka jest u nas najwyższym celem.

No i mamy tandetę: jednorodzinna, wielorodzinna, skolko ugodo.

Mówiliśmy o przeszłości, o cudach-niewiadach.

Obecnie jest oczywiście inaczej. Od ponad pół roku Urząd Miejski wymaga na przykład, by człowiek prowadzący roboty budowlane sposobem gospodarczym posiadał odpowiednie, wspomniane już uprawnienia. Taki ktoś namyślił się dwa razy, nim ku zadowoleniu inwestora zdemoluje zatwierdzony projekt domu jednorodzinny. Jeśli bowiem odstępstwo okaże się znaczne i nie pierwsze w karierze naszego fachowca, może on utracić owe „papiery”, stanowiące podstawę jego owocnej działalności zawodowej.

Ciągle przecież spotyka się majstrów, którzy potrafią pomyśleć nie dwa, ale trzy razy.

I ty właśnie takiego znalazłeś.

Był w kwiecie wieku, zatem wabił się Robert, a nie jakiś tam Józef czy Maciej.

Obejrzał projekt domu i uznał go za pierwszorzędny, bo prosty w robocie, pasujący do ręki chłopaków z jego ekipy, którzy wyższą szkołę budowania odbyli na wielkiej płycie i zdążyli objechać pół Polski w charakterze prywatnej „brygady tygrysów”.

Ustaliście wysokość honorariów: 5000 zł na głowę za dzień plus procentunek, może być z wódeczką. W sumie zapłacisz ekipie ok. 900 tysięcy.

Opiliście sprawę po raz pierwszy.

Następnie pan Robert przejrzał i uzupełnił swoją listę materiałów, potrzebnych do wzniesienia domu. Otwierał ją belit, potocznie zwany też suporeksem lub „siporkiem”. Powstaje to z mieszanki wapna, cementu, piasku i aluminiowego proszku, którą podgrzewa się aż do konsystencji ciasta (stąd inna nazwa: gazobeton), a następnie formuje w prostopadłościennych blokach, kosztujących w handlu 370 zł za sztukę (pulawski) lub 334 zł (z Długiego Kąta). Fachowiec radzi, byś kupił 2500 takich pustaków, no i trochę cegły na piwnice. Cegła to oczywiście materiał zdrowszy od belitu, dostępny pod Lublinem, gdzie za sztukę domar-

gają się 42 zł, podczas gdy na wzniesienie domu potrzeba jakieś 50—60 tys. takich rdzawych kawałków. Ale „wszyscy” budują dziś z belitu.

Na pokrycie dachu planujecie eternit (1200—1400 zł za płytę o powierzchni nieco większej od metra kwadratowego), albo blachę ocynkowaną, która przyda się też na rynny (146 tys. zł za tonę). Eternit zawiera szkodliwy dla zdrowia azbest, z tego powodu w starożytnej wytwórni lubelskiej trzeba było zwolnić wszystkie kobiety, ale cóż, nie macie większego wyboru. O dachówce nawet nie myślicie, na Lubelszczyźnie rzadko kto lubi coś takiego. Zresztą metr kwadratowy bardzo ładnej dachówki z polonijnej firmy szczecińskiej kosztuje 2083 zł, nie licząc transportu.

W suficie umieści się oczywiście stal „czternastkę” (84 zł za 1 kg), nie zważaj wszakże, jeśli trochę stalowych belek wzmocni i ściany budynku. To ma być dom potężny, służący kilku pokoleniom. Kto by się tam przejmował, że nadmiar stali powoduje wytwarzanie się pola magnetycznego w chałupie! Pole takie od dawna laskocze mieszkańców bloków spółdzielczych, a oni nawet o tym nie wiedzą...

Po dodaniu kilkunastu innych pozycji uznajecie wykaz za kompletny. Teraz należy to wszystko kupić, nie ociągając się ani chwili, bo materiały budowlane i elementy wyposażenia drożeją z tygodnia na tydzień.

Coś jest, czegoś nie ma

Tymczasem okazuje się, że „wszystko”, to ty możesz sobie napisać. Belit, eternit, stalowe belki eufitowe, blacha ocynkowana — takie materiały podlegają reglamentacji, są dzielone przez Urząd Miejski, co znaczy, że ich produkcja nie zaspokaja potrzeb. Owszem, zdarza się, że belit zalega place przedsiębiorstwa handlowego przy ul. Krochmalnej, bo ci „obdarowani” z różnych powodów spóźniają się z odbiorem gazobetonu.

Poza tym brakuje wapna, stolarki okiennej, ostatnio — szkła, które jest w wolnej sprzedaży, a raczej bywa.

Nie brakuje cementu — dla każdego. Są parkiety: bukowy i droższy (6000 zł za 1 m kw.), dębowy, ale od lat nie ma subitu do ich klejenia. Można kupić drzwi (do 5000 zł), parapety marmurkowe, wanny (30 tys. zł sztuką), grzejniki panelowe, ale już nie żeliwne, które dzielą UM. Nie ma terakoty i glazury. O materiałach instalacyjnych trudno coś pewnego powiedzieć.

Coś jest, czegoś nie ma, to było, tamto będzie. Krótko mówiąc: popyt wielokrotnie przewyższa podaż, więc amatorzy własnego domu długo przed rozpoczęciem budowy ciulają materiały, krążąc między składami i sklepami Lublina, GS-ami Jastkowa, Zemborzyc i Wólki Lubelskiej — w nadziei, że może tam właśnie naczelnicy rzucili do wolnej sprzedaży towar, którego miejscowi już nie potrzebują.

Ty również uprawiałeś te biegi, zawadzając czasami o prywatnych producentów czy posiadaczy materiałów budowlanych, które w tym sektorze są oczywiście droższe.

Powiedzmy jednak, że jakimś cudem zgromadziłeś już wszystko, no, prawie wszystko, łącznie ze złością. Byłeś człowiekiem w miarę spokojnym, teraz irytujesz się z byle powodu, stajesz się nieufny i przebiegły.

Murarze zaczynają robotę: w kilka dni zalewają fundamenty i stawiają piwnice. Zgodnie z tradycją urządzasz ostre „założyny” na kilka litrów.

Komisja przedwstępna stwierdza właściwy stan rzeczy i bank uruchamia ci kredyt. Masz więc to, czego nie osiągnęła spółdzielnia cukrowników, której bank odmówił wsparcia po kontroli.

Murarze idą na całość: to niewiarygodne, ale w miesiąc od zalania fundamentów są już na dachu!

Wprawiasz huczne „wiankowe”

W cztery tygodnie zbudowano ci dom w stanie surowym, ale sporo jeszcze czasu upłynie, nim wyoszczędzisz go w instalacje wodno-kanalizacyjne, elektryczne i ciepłownicze, które z robotniczą kosztują bodaj więcej, niż mury.

Pokonując rozliczne trudności zaopatrzeniowe, popędzasz przecież roboty wykończeniowe do tego stopnia, że budzi to aprobatę urzędowej inspekcji i w rezultacie otrzymujesz ostatnią ratę kredytu bankowego.

Zbliżasz się do świątecznego końca, dekorowanego wprowadzeniem rodziny pod nowy dach — taki jakiś delikatny, kryty papą, ale przecież własny. Przed zasiedleniem odwiedza się oczywiście przedstawicielstwo władz budowlanych, które stwierdziwszy zgodność budowli z projektem i innymi normami, oficjalnie powołuje twój dom do legalnego życia. Pan Robert nie traci uprawnień.

W kilka godzin lub dni po opuszczeniu przez inspektorów budynku, który podniecająco pachnie świeżym tynkiem i farbą emulsyjną, zdejmujesz dach prowizoryczny i mocą całkiem już prywatnych murarzy w trymiga dostawiasz jeszcze jedną kondygnację, albo dwie. Niewykluczone zresztą, że zastosowałeś całkiem odmienne metody zwiększenia swojej życiowej powierzchni. Jedno jest pewne: że dużo wody upłynie w Bystrycy, nim inspekcja budowlana trafi na ślad twoich nadprogramowych inwestycji. Lublin bowiem jest miastem sporym, liczy 350 tys. mieszkańców, posiada ponad 1000 domów jednorodzinnych w trakcie budowy — a cała inspekcja występuje w sile trzech osób, które nie dysponują choćby służbowym motocyklem, bodajże rowerem. A jeśli nawet trafią w końcu do ciebie, to cóż ci z tego zrobią?! Przecież twoje dzieło nosi znamiona nękłej szkodliwości społecznej...

Spokojnie wprowadzasz się do domu, wydzielasz kat dla ojca ściągniętego spod Goraja, jeden pokój odda-

jesz żonatemu synowi, dwa inne wynajmujesz sześciu studentkom, które faktycznie acz nieformalnie spłacają twój bankowy kredyt, zostawiając coś tam jeszcze gospodarzowi...

Nabawiając się po drodze owrozdzenia żołądka, zbudowałeś dom szkaradny, który jednak podoba się w twoim środowisku, gdzie za ładne uchodzi to, co mocne, niewymyślne i dochodowe. Zresztą władze budowlane też nie bawią się w subtelności estetyczne i zatwierdzają niemal każdy projekt, który gwarantuje, że zrealizowany wedle niego budynek nie zawali się. Artykuł 4 „Prawa budowlanego” z 1974 roku (będzie znowelizowane w najbliższych miesiącach) głosi co prawda, że „Forma architektoniczna obiektów budowlanych powinna być zharmonizowana z otoczeniem, uwzględniać walory krajobrazu i wpływać na podniesienie estetyki otoczenia”, ale praktyki w sferze MNJ zdają się pokpiwać z tej dyrektywy.

Nie wysiła się również wielu architektów, autorów typowych projektów domów jednorodzinnych. Odpowiednie katalogi w znacznej mierze ilustrują środowiskowe mody (obecnie up to day są wielkie spadziste polacie dachowe i arkadowe otwory), a nie różnicowane potrzeby funkcjonalne i materiałowe możliwości inwestorów.

Kto wie, może toporne domy jednorodzinne i zbyt jeszcze częste samowole budowlane — w swej istocie podobne jakby do strasznej choroby, która pod postacią liszajowatych ogradków działkowych nęka np. LSM — są tylko spektakularnym świadectwem niskiej kultury estetycznej, technicznej i prawnej większości społeczeństwa?!

W takiej przepastnej perspektywie mało ważne wydają się więc pojedyncze interwencje na rzecz uzdrowienia sytuacji. Może jednak, mimo wszystko, należałoby zrobić coś takiego — wzorując się np. na Węgrzech, gdzie kara finansowa za skrajną samowolę sięga jednej trzeciej wartości nielegalnie wzniesionego budynku.

W planach miejscowych zagospodarowania przestrzennego Lublina pod budownictwo jednorodzinne wyznaczono tereny o chłonności około 6000 działek. Ponadto w granicach przyległych gmin: Wólka (Turka), Konopnica i Glusk plan ogólny Lubelskiego Zespołu Miejskiego lokuje prawie 7000 działek. W rejonie owej Wólki, konkretnie: między miejscowościami Turka i Długie, gdzie zresztą znajdują się gleby kępskie, IV klasy, stanie w I etapie 1200, a docelowo niemal 4000 domów: wolnostojących, bliźniaczych, szeregowych.

Czy ta nowa szansa umorusana zostanie w starych problemach MNJ?

Ireneusz J. Kamiński

ILEKROĆ dowiaduję się, że sprawca przestępstwa jest nieletni, często jeszcze uczeń szkoły podstawowej, czuję się wyjątkowo niewojno. Latwość, z jaką ci chłopcy dokonują wyboru, każe z troską myśleć o przyszłych latach. Prokurator Kazimierz Sabat z Prokuratury Wojewódzkiej w Białymstoku informuje mnie, że udział młodocianych i nieletnich w bójkach, pobiciach, rozbojach i zuchwałych kradzieżach jest niebezpiecznie duży. Różnie przy tym liczba przestępstw dokonywanych zbiorowo; zdaniem niektórych sędziów, jest to od roku 1980 wyraźnie zauważalna tendencja.

Jeszcze dziesięć lat temu statystycznym wizerunkiem nieletniego przestępcy był zdemoralizowany nastolatki z rozbitej rodziny, wagarujący, upijający się najtańszym winem, ale uprawiający swój proceder w pojedynkę i możliwie najbądźniej skrycie. A jeżeli przychodził do szkoły, trzymał się zwykle na boku, jakby świadom swojej inności. Nie szukał towarzystwa dobrych, spokojnych uczniów i nie próbował wtajemniczać ich w swoje sprawy. On miał już swój osobny świat, towarzystwo starszych, u których terminował.

Ale trafiali się także zupełni indywidualiści, wytrwali samotnicy, słuchający tylko własnego instynktu. Ci byli najbardziej zuchwali i oni przysparzali milicji najwięcej pracy, ponieważ umieli zdobyć się na nieco, dzienne pomysły i brawurę. Takim był na przykład dobrze znany w Białymstoku „Szpenio”. Poszukiwany przez milicję w całej Polsce za serią zuchwałych włamań, nawet się nie ukrywał. Przez pół roku mieszkał w „Cristalu” — reprezentacyjnym hotelu Białegostoku, gdzie z gestem i wdziękiem (jak twierdziły kelnerki hotelowej restauracji) przepuszczał ukradzione pieniądze.

Ci chłopcy z fantazją, przygotowujący się precyzyjnie do każdego „numeru”, nieletni profesjonalści w swoim fachu, odchodzą szybko w legendę. Statystycznie zaczynają przeważać w sądach dla nieletnich sprawcy przestępstw, stanowiący zdecydowane przeciwieństwo „Szpenia”. Są to chłopcy z normalnych, spokojnych domów, gdzie mają znośne warunki życia i nauki, choć oboje rodzice zajęci są pracą. Chłopcy nie sprawiają kłopotów ani w szkole, ani na podwórku, ani w domu. Nie notowani przez milicję. Ale za to działający w biały dzień, na ulicy, przypadkowo, bez namysłu, z wyjątkową brutalnością. Nie zdarza się, by zacierali po sobie ślady, ukrywali się po dokonaniu przestępstwa czy montowali fałszywe alibi. Nie. Oni rozchodzą się spokojnie do domów, jakby zupełnie nie byli świadomi, że popełnili przestępstwo. Jakby w ich młodych umysłach nie wykrystalizowały się jeszcze pojęcia dobra i zła.

Historia, będąca przedmiotem tego opowiadania, jest tak prosta, że w swojej prostocie potworna. Scenerię stanowi ta sama dzielnica „Hiroszima”, którą opisałem w „Trójkacie zbrodni”. Tym razem rzecz wydarzyła się nieco dalej od komisariatu MO. Trzysta, może czterysta metrów w linii prostej? Na pewno nie więcej. Było to u schyłku lata około godziny ósmej wieczorem. O tej porze roku jest już ciemno. Trwają jeszcze wakacje. Między blokami tej gęsto zabudowanej dzielnicy przebiega sporo dzieci i młodzieży. Ulice nie są puste. Znamy dobrze to miejsce: ruch tu zawsze spory i nie sądzę, aby tamtego dnia było inaczej.

Istnieje specyfika białostocka, której nie widuje się w innych dużych miastach. Prawie przed każdą klatką schodową ławeczka, a na niej po dwie, trzy osoby. Ostatnie pogaduszki przed pójściem spać, coś z wiejskiego zwyczaju siadywania na przyzbie. Słowem, swojsko i dość przyjemnie, gdyż dużo tutaj drzew, krzewów, trawy i kwiatów, pielęgnowanych przez zapobiegliwych mieszkańców. Zapewne wiele otwartych okien, ponieważ dzień był upalny.

W takim miejscu i o takiej porze można — i chyba trzeba — czuć się bezpiecznie, jeżeli mamy zachować zdrowe nerwy i zdrową miarę rzeczy. W każdym razie tak czuły się trzy siedemnastoletnie dziewczyny, które szły niespiesznie krokiem ulicą Broniewskiego. Ewa Z. i Alicja W. odprowadzały do domu koleżankę. Za

parę minut miały wracać tą samą trasą do mieszkania Ewy. Jej rodzice wyjechali cztery godziny wcześniej do Wrocławia, aby kupić tam zamrażarkę. Ewa bała się zostać sama na noc i uprosiła rodziców Alicji, by pozwolili swojej córce zanoćować u niej.

W pewnym momencie dziewczęta stwierdziły, że idzie z nimi kilku nastu chłopców. Nie zaniepokoiło to ich jednak, gdyż na tej ulicy często gromadzi się młodzież. „Po chwili chłopcy dobiegli do nas — relacjonowała Ewa Z. — i jeden z nich, objawżył mnie i Alicję za szyję, poprosił o papierosa”. Był to wysoki, szczupły młodzieniec w wieku około 17—18 lat, ubrany w krótkie spodnie i podkoszulek. Nie czuło się od niego alkoholu, toteż dziewczęta zlekceważyły tę zaczepkę, biorąc ją za niewyszukany żart. Chłopiec jednak nie żartował. Chwył Ewę mocno za obie ręce i przyciągnął do siebie. Czując, że świeci się coś niedobrego, koleżanki Ewy rzuciły się do ucieczki. Pozostawiona sama sobie dziewczyna znalazła się teraz w środku kilkunastoosobowej grupy chłopców w wieku 14—18 lat. „Okrzykiwali mnie wokół i zaproponowali, abym z nimi poszła. Ale gdzie miałam pójść — tego jeszcze nie mówił”.

Na razie nikt nie podnosił głosu. Dziewczyna, choć mocno przestraszona,

chce, to oni ją puszcza, ale wtedy tamtych dziesięciu zaciąganie ją do pobliskiego parku, a co ja tam czeka, nie muszę mówić.

W trakcie tej rozmowy podszedł kolejny chłopiec. Był to wysłannik grupy, która została przy szkolnym ogrodzeniu. Chłopcy denerwowali się, że cała sprawa za długo się przeciąga, dlatego on jej radzi, aby szybciej zdecydowała się i nie „świrować”, gdyż wiadomo wszystkim, że „dziewczyny lubią tę robotę”. „Jeżeli chodzi o mnie — powiedział — to zrobił mi laskę i może być wolna”. Po chwili podszedł jeszcze czwarty chłopiec i powiedział, że szkoda czasu na gadanie. „Chwycili mnie wszyscy i zaciągnęli do klatki schodowej i chociaż z całej siły wzywałam pomocy, zanieśli mnie na czwarte piętro i wepchnęli do mieszkania”.

Tak więc pierwsza część planu powiodła się znakomicie. „Polowanie” udało się i pierwsza łowca dziewczyna, jaka znalazła się przypadkowo na ulicy, została bez najmniejszych problemów zaciągnięta do mieszkania. Znam dobrze tę dzielnicę, dlatego nie wierzę, aby jej rozpaczliwych krzyków i wołania o pomoc nikt nie słyszał. A nawet sądzę, iż niejedna osoba widziała szamotaninę. Dlaczego nikt nie zareagował? Dlaczego nikt nie

lata adres mieszkania i podala dość szczegółowe rysopisy. Wszyscy też przyznali się, że mieli z dziewczyną stosunek, ale stanowczo zaprzeczali, jakoby ją gwałcili. Np. trzynastoletni Dariusz P., pseudonim „Kłusek”, stwierdził, iż starszy brat powiedział mu w pewnym momencie, że „może sobie poruchać”. Wtedy on wszedł do tamtego pokoju, rozebrał się i położył na dziewczynie, która nie broniła się, nie odpychała go, w ogóle nic nie mówiła, tylko stękała. Tomasz G., pseudonim „Bulgar” i „Mongol”, uczeń VI klasy szkoły podstawowej, przyszedł do tego mieszkania, zanim jeszcze pojawiła się dziewczyna. Upiera się, że Ewa weszła sama, nie zauważył, aby wciągnęła ją siłą. Część chłopców weszła wraz z nią do jednego pokoju, a część została w drugim, gdzie stoi telewizor. Początkowo nie wiedział, co się tam dzieje, ale słyszał, że w tamtym pokoju skrzypiła wersalka, a dziewczyna stękała. Po jakimś czasie starsi chłopcy namówili go, aby też poszedł do dziewczyny. „Kiedy wszedłem, dziewczyna była ubrana i siedziała na wersalce. Kazałem jej zdjąć bluzkę, a potem macałem ją po piersiach. W inne miejsca nie dotykałem. Po paru minutach ktoś krzyknął, że mój czas się skończył, więc wyszedłem”.

Artur S., pseudonim „Pędzel”, tak opisuje początek zajścia. Około 20.30, gdy wracał do domu, spotkał pod blokiem około dziesięciu kolegów, a wśród nich dziewczynę, która — jak dowiedział się później — była znajomą jednego z gwałcicieli. Zaczął rozmowę z kolegami i wtedy „Czarny” powiedział mu, że mają zamiar ją zgwałcić. Twierdzi, że Ewa poszła do tego mieszkania dobrowolnie. W każdym razie on na pewno nie używał wobec niej przemocy, bo gdy odbywał z nią stosunek, dziewczyna nie broniła się i nic nie mówiła; miała zamknięte oczy i leżała bez ruchu. Był z nią dwukrotnie, ale niektórzy trzy i cztery razy. Przez cały czas drzwi do tamtego pokoju stały otworem, słychać było skrzypienie wersalki i stękanie dziewczyny. Niektórzy wchodzili tam, aby popatrzeć, inni — opowiada „Pędzel” — wchodzili do łazienki i tam się onanizowali.

Podczas pobytu w schronisku dla nieletnich (gdzie przebywali do dnia procesu) chłopcy byli uważnie obserwowani przez psychologa i pedagogów. Wynik tej obserwacji nie był niestety, budujący. Wprawdzie wszyscy bez wyjątku zachowywali się poprawnie, wręcz „wyróżniali się swoim zachowaniem”, ale żaden nie miał poczucia, że dokonał gwałtu i złamał prawo. Każdy uważał, że „dziewczyna godziła się”, tak więc co najwyżej została tu złamana norma dobrego obyczaju. Oczywiście jeżeli Ewa ma teraz do nich pretensje, szczerze żałują swojego postępowania i gdyby wiedzieli, że będzie miała pretensje, nigdy by jej nie zaczepiali.

Biegli sądowi: psycholog Grażyna Hejft i pedagog Stanisław Bekisz złożyli wniosek, aby sąd nie skazywał chłopców na pobyt w domu poprawczym, gdyż grozi im to poważną demoralizacją. W domu poprawczym — argumentowali — nie rozwijają się bowiem w chłopcach cechy pozytywne, ale przeciwnie — pogłębia skłonności negatywne. Sąd przychylił się do tego wniosku. Chłopców uznano winnymi dokonania zbiorowego gwałtu na Ewie Z. i wprawdzie skazano na umieszczenie w domu poprawczym, ale wykonanie wyroku zawieszono na dwuletni okres próby, w ciągu którego nad każdym z chłopców sprawować będzie nadzór kurator zawodowy.

Moje mieszane uczucia i niepokój budzi nie ten — łagodny w sumie — wyrok, który uznać należy za wynik dużej mądrości Sądu. Nie ślepa sprawiedliwość jest tu bowiem najważniejsza, lecz interes nas wszystkich, aby uratować tych młodzieńskich chłopców przed całkowitą demoralizacją. A grozi im ona — paradoksalne — akurat w zakładzie resocjalizacyjnym, powołanym właśnie po to, aby takich jak oni uczyć uczciwego, godnego życia! Groźne jest to, iż ci chłopcy nie pojmują, że nie można drugiego człowieka traktować jak przedmiotu, który służy do zaspokajania własnych zachcianek. Że nikt nie nauczył ich szacunku dla drugiej osoby. Oczywiście ktoś, kto nie szanuje bliźniego swego, nie musi być zaraz przestępcą. Nigdy jednak nie będzie dobrym obywatelom, uczynnym sąsiadem, i — co najważniejsze — ktoś taki nie będzie dobrym rodzicem, czyli dobrym wychowawcą swoich dzieci.

GWALT

Paweł Andrzejewski

odpowiedziała spokojnie, że nigdzie z nimi nie pójdzie. Jeden z chłopców odrzekł wówczas, że w takim razie będą musieli ją zanieść. I rzeczywiście: kilku chwyciło ją mocno i choć Ewa wrywała się i krzyczała, była niesiona kilkanaście metrów ulicą Broniewskiego. Po chwili spróbowała formuły: powiedziała, że jeżeli ją puszcza, pójdzie spokojnie sama. Chłopcy postawili ją na chodniku. Ale nie udał się ten podstęp. Kiedy Ewa rzuciła się do ucieczki, natychmiast ją złapali i wnieśli pomiędzy blok i drzewa.

Ewa twierdzi, że przez cały czas krzyczała, wzywała pomocy, wrywała się. Kiedy nieśli ją koło ogrodzenia szkoły, chwyciła się mocno siatki i nie puściła. Plakała. Chłopcy znowu postawili ją na nogach, ale trzymali za ramiona. Usłyszała: „Nie świruj, nie ci to nie pomoże”. Podeszło do nich trzech nowych chłopców i jeden z nich zapytał: „Niesiecie ją na wydmanie?”. „Tak — odpowiedział inny — będziemy ją zaraz dymać”.

„Wtedy zrozumiałam — mówi Ewa — że chcą mnie zgwałcić. Przestałam się wrywać, gdyż i tak nie miało to sensu, i zaczęłam ich prosić, aby mnie puścili”.

Od tego momentu zachowanie Ewy staje się nieco dziwne, a nawet niezrozumiałe, albowiem kiedy ma największe szanse ucieczki — nie podejmuje już próby wyrwania się z rąk podochocionych młodzieńców. Można to tłumaczyć szczeniemi i utratą wszelkiej nadziei, że uda się jej uniknąć gwałtu. Oto bowiem jeden z chłopców bierze ją spokojnie i delikatnie za rękę i mówi, że chce tylko porozmawiać, oddala się z nią o dobrych pięćdziesiąt metrów od całej grupy. Wychodzą z mroczonej alejki między blokami i są już na dobrze oświetlonej ulicy Wierzbowej. Ewa nie próbuje się wyrwać. Śladają z chłopcem na lawce przed blokiem i kilka minut rozmawiają.

Chłopiec przekonywał ją, że powinna pójść z nim do mieszkania jego koleżki, albowiem w przeciwnym wypadku będą ją gwałcić wszyscy po kolei. Jeżeli z nim pójdzie, zamkną się i zostaną tylko we dwoje. Po chwili podszedł jeszcze jeden i propozycja brzmiała teraz inaczej: pójście z nimi dwoma, a jeżeli tego nie

sięgnął po słuchawkę telefonu, by zawiadomić milicję? Jeden z sędziów powiedział mi: „Jestem przekonany, że są ludzie, którzy to wszystko słyszeli i widzieli”.

Ewę wepchnięto do pokoju, gdzie znajdowała się wersalka zaścieniona pościelą. Rozebrano ją przemocą, po czym gwałcono do godziny czwartej nad ranem. Pierwszy był niewysoki blondyn z lekko kręconymi włosami, który kazał zrobić sobie „laskę”. Nie musiał używać przemocy. Skutecznie podziałała na dziewczynę groźba, że wezwie kolegów na pomoc i zmuszą ją siłą, aby wzięła członka do ust. Był to pierwszy w życiu kontakt seksualny siedemnastoletniej Ewy.

Nie pamięta wszystkich szczegółów ani tym bardziej kolejności, w jakiej chłopcy wchodził do pokoju i kładł się na nią. Wie, że drugim był wysoki blondyn, który ją na początku rozebrał. Po tym stosunku, który trwał dosyć długo, Ewie zrobiło się słabo, zeszywniały jej nogi i ręce, popadła w coś podobnego do omdlenia. „Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, chociaż czułam, że jestem znowu gwałcona przez kolejnych chłopców”. Kiedy się ocknęła, zobaczyła w pokoju małego okrągłego blondynka w wieku około 13 lat. On także położył się na Ewę i odbył z nią stosunek, a potem przyniósł jej szklankę wody. Kiedy wypijała, zaczęli przychodzić znowu i wtedy rozpoznała, że niektórzy przychodzą drugi i trzeci raz. Drugi raz przyszedł także pulchny trzynastoletni. Tym razem zapytał dziewczynę, co wybiera: „górze czy dół?”

Potem powtórnie popadła w omdlenie. A kiedy znowu czuła, że jest gwałcona, usłyszała, jak jeden z chłopców pytał, czy „zalać formę”. Odpowiedziano mu: „Spuszczaj się w pościel lub na udo”.

Kiedy wszyscy mieli już dosyć, pozwolili Ewie ubrać się i wyjść. Nikt jej nie zatrzymywał ani nie groził. Dziewczyna była w swoim mieszkaniu o godzinie 4.30. Około dziewiętej przyszła do niej Alicja W., parę minut później Violetta K. i Ewa poszła z nimi do III Komisariatu MO, aby domagać się ścigania gwałcicieli.

Wszyscy chłopcy zostali zatrzymani jeszcze tego samego dnia. Ewa pamię-

Kochajmy wieloryby?

PRZEZ nasze ekrany sęczy się strumyczek (liche), zachodniej, sensacyjnej „komercyjnej” filmowej. Ale że na bezrybiu i rak ryba — publiczność i tak idzie do kina na film amerykański, jaki by on był, skoro ma jako alternatywę sensacyjny dramat rumuński...

Pewnie — nawet w ojczyźnie kina, Hollywood, kręci się coraz więcej marnych, obliczonych na byle jakiego, młodocianego, nie wyrobionego widza, filmów, w których krew się leje hektolitrami, bohaterowie mają niezniszczalne siły fizyczne, a kapitanowie międzygwiazdowych statków kosmicznych dają sobie radę w każdej sytuacji. Ale nie jest też prawdą, że w wymienionych gatunkach filmowych nie można już zupełnie znaleźć nic godniejszego uwagi, reprezentującego wyższy poziom, niż to usiłują udowodnić polscy specje od filmowego importu.

Kto wpadł na przykład na pomysł, aby koniecznie uraczyć nas filmem amerykańskiego reżysera Leonarda Nimoy'a „Powrót na Ziemię”, którego głównymi bohaterami są... wieloryby, przewożone specjalnie do tego przystosowanym statkiem kosmicznym w czasie z wieku dwudziestego w wiek dwudziesty trzeci?!

Film, nawiązujący do znanego w Stanach Zjednoczonych i lubianego przez amerykańską młodzież serialu telewizyjnego „Star Trek”, mógł liczyć jeszcze ostatecznie na tamtejszą młodzieżową widownię, która przyzwyczajona została do niesamowitych perypetii swych ulubieńców (niczym polska młodzież do tasiełcowych przygód Bolka i Lolka) i przymyka oczy na różnorakie niedobory scenariuszowe i artystyczne. Ale u nas?

Trochę podobna sytuacja wydarzyła się kilka lat temu, kiedy to z wielkim hukiem i nadstawianiem kieszeni na rzekę złotych sprowadzono do Polski film „Superman III”, zapominając, że nasza widownia nigdy nie oglądała pierwszych i drugich filmowych przygód Supermana, że nie wzrastała w poprzedzającej wszystkie trzy filmy, wieloletniej komiksowej „tradycji” tej niezwykle obdarzonej nadludzkimi przymiotami postaci. Więc przeszła wobec owej „kasowej bomby” zupełnie obojętnie. Tak samo w przypadku „Powrotu na Ziemię” — jakoś nie dało się zauważyć przed kasami polskich kin tłumów rozgorączkowanych nastolatków, tocących walki o bilet wstępu.

Film Nimoy'a nie trafia na naszym gruncie ani w zapotrzebowanie młodzieżowe, ani dorosłego widza. Odwołując się do szlachetnej skądinąd idei walki o ochronę środowiska naturalnego (problem coraz okrutniejszych polowań na wieloryby w ostatnich latach, mogących doprowadzić do całkowitego wyginięcia tego gatunku), ukazuje owo zagadnienie w sposób płaski i naiwny, a dla dorosłej widowni wręcz śmieszny.

Oto okazuje się, że gdybyśmy w naszym dwudziestym wieku nie wymordowali co do jednego wszystkich wielorybów, to w trzy wieki później

nie „upominalaby się” o nie jakąś nieznaną, pozaziemską cywilizacja, sprowadzając na naszą planetę cały wachlarz różnorodnych kataklizmów. Aby zapewnić Ziemi spokojny byt, należy zatem znów zasiedlić morza i oceany dawno nie istniejącymi wielorybami. Wyrużają więc w głąb czasu specjalna „wielorybnicza” ekspedycja w dawno miniony wiek dwudziesty.

W tej całej kosmicznej bzdurze sens miałby może jedynie wątek ukazujący (w sposób chwila mi autentycznie zabawny) zderzenie dwóch ziemskich kultur. Tej z wieku dwudziestego i tej z wieku dwudziestego trzeciego. Niestety, film został nakręcony w sposób zbyt prymitywny, banalny, pospieszny, aby można było tu powiedzieć o jakimkolwiek poziomie artystycznym. Może filmy takie, jak „Powrót na Ziemię” jakoś „ujdą w błoku” przy szerokim wachlarzu różnych innych ciekawszych ekranowych propozycji. Ale u nas, przy posusze repertuarowej, idzie się na każdy film znaczącej światowej kinematografii z nadzieją. A później ogląda się go i stara się „smakować” szczególnie dokładnie. Jednak coraz częściej doznajemy uczucia katastrofalnego zawodu.

Smutek widza może być tym większy, że — jak dowodzi Czesław Dondzillo w jednym z lipcowych numerów „Filmu”, w artykule „Kontrewolucja w USA”, po obejrzeniu kilkudziesięciu najnowszych filmów amerykańskich — „mądre kino nie umarło do końca, nawet najbardziej popularne gatunki filmowe nie muszą być głupie z definicji. Doko-

nuje się dziś w świecie nie tyle rewolucja, ile kontrewolucja w obronie spauperyzowanych do cna wartości gatunkowych, poddanych dyktatowi komercyjności”. I tutaj autor wymienia i omawia szereg tytułów filmów kryminalnych, sensacyjnych itp., mogących zadowolić, jego zdaniem, najbardziej wybredne gusta wyrobionych widzów, równocześnie zaś potrafiących przyciągnąć uwagę tak zwanej szerokiej, młodzieżowej widowni, do której wszak odwołuje się dzisiaj przede wszystkim współczesne kino. Między innymi: „Fatal Beauty” Torna Hollanda, „Głiniarz z Beverly Hills II” Tony Scotta, „Zimny jak śmierć” Arthura Penna, „Podjeźdźca” Petera Yatesa czy też „Szaleństwo”, najnowszy film Romana Polańskiego ze świetną rolą (z pewnością innej niż dotychczas) Harrisona Forda.

Ciekawe, kiedy i które z tych filmów zobaczymy na naszych ekranach, zamiast powodzi filmowej miernoty?!

Póki co jesteśmy skazani, niestety, na filmy w rodzaju „Powrotu na Ziemię”. Czy też — prezentowanego właśnie krwawego „dreszczowca” Richarda Pearcea, zatytułowanego „Bez litości”. Filmu, którego jedyną jasną stroną jest uroda i wdzięk występującej w głównej roli kobiecej, Kim Basinger. To właśnie jej zdjęcie (w roli uciśnionej piękności, uwolnionej przez bohaterkiego policjanta spod władzy bestialskiego szefa gangu) zamieszczamy tutaj zamiast fotografii wieloryba z „Powrotu na Ziemię”.

M. D.



Pocztą literacka

MIROSLAW K. Warszawa. Dziękuję za ciekawą recenzję z książki Tadeusza Komendanta „Zostaje kantzycza. Eseje z progranicza czasów” (Warszawa 1987). Trochę jednak za późno postanowił pan napisać o tej książce, tym bardziej, iż nie uzasadnił pan, że „zaśluguje ona na szczególną uwagę”, ponieważ zawiera wiele treści, które się nie starzeją. Tak się dobrze składa, że czytałem eseje Komendanta, dlatego podziękuję panu kilka rzeczy, które może pan wykorzystać przy ulepszeniu swojej recenzji.

Otóż po pierwsze, jest to książka o ostatecznej śmierci pewnej formacji kulturowej, która po wielu próbach samoimplantacji, nieudanych doświadczeniach i złudzeniach została ostatecznie odrzucona przez elitę umysłową w Polsce. Nie będę spierał się z panem, czy to odrzucenie było nieuchronne. Wbrew panu uważam, że — tak, było nieuchronne. Owa formacja za-

właszczała bowiem coraz większe obszary życia, wkraczała nawet w sferę obyczajową. Była więc niezwykle konsekwentna w tym swoim dążeniu, aby regulować myślenie i ustanawiać wartości we wszystkich dziedzinach życia. Upojona rzekomymi sukcesami (albowiem oponentów nie dopuszczano do głosu) i przekonana, że cała przestrzeń społeczna została już opanowana, formacja owa nie dbała o jakość swojego myślenia. Wcześniej niż Komendant powiedział to Zbigniew Herbert w wierszu „Potęga smaku”, dedykowanym „Pani Profesor Izidorze Dąbskiej”. *Zaiste ich retoryka była aż nasbyt*

parciana (Marek Tulliusz obracał się w grobie) laficuchy tautologii parę pojęć jak cepy [...] żadnej dystynkcji w rozumowaniu składnia pozbawiona grody

konjunkturu

Ma pan oczywiście rację, że prostactwo umysłowe demaskuje się samo, wcześniej czy później. Ale nie dostrzegł pan w książce Komendanta tych, bardzo istotnych fragmentów, w których powiada autor, że w owym zde-maskowaniu niepoślednią rolę odegrali nasi pisarze i intelektualniści. W eseju „Zostaje kantzycza” wpisana jest w ten sposób swoista dialektyka kultury jako sporu o wartości. Pociągająca jest tak-

że diagnoza krytyka: spór ten zawsze wygrywają wartości, a nie idea, chociaż nieraz trzeba na takie zwycięstwo czekać długie dziesięciolecia, podczas których słabsze charaktery tracą nadzieję i przechodzą na stronę siły. Cóż, takie są prawidła życia, toteż pańskie docinki wobec paru pisarzy są raczej nie na miejscu. Zastęgują one na szacunek chociażby dlatego, że jednak odnaleźli drogę do prawdy i cnoty, a to liczy się najbardziej.

Słowem: chociaż w zasadzie zgadzam się z panem, uważam, że recenzja uchyla się od nazywania rzeczy po imieniu, jakby miał pan obawę, czy o latach stalinowskich i gierkowskich można pisać swobodnie. W odniesieniu do kultury i literatury — zapewne tak, dlatego zachęcam pana do większej szczerości względem samego siebie. Nawet jeżeli nie wyjdzie to na lepsze pisanie, to na pewno będzie miał z tego pożytek pański charakter.

WOJCIECH Z. Trzebnica. Z prawdziwą satysfakcją przeczytałem wszystkie pańskie wiersze. Dziękuję także za szczery, bardzo osobisty list o kolejach swojego życia. Wiersze zatrzymuję do wykorzystania. Wszystkie są dobre, ale niektóre szczególnie dobre i z tych najlepszych wybiorę kilka do publikacji. Może będą to wiersze: „Alchemicy”, „Getto '43”, a na pewno wstrząsający „List z podróży”. Aż dziw, skąd

w panu, młodym przecież człowieku, tyle mądrości życiowej i doświadczenia. Jestem przekonany, że dobry z pana materiał na poetę i pisarza. Jeżeli to prawda, że są to pańskie pierwsze wiersze, pozostaje mi tylko skłonić się z szacunkiem. Jeżeli natomiast chodzi o termin publikacji — jestem już mniej konkretny. Musi pan uzbroić się w cierpliwość, ponieważ kolejka jest bardzo długa, a miejsca w „Kamieniu” niewiele. Będę jednak starał się, aby nie czekał pan zbyt długo. Jeżeli pisze pan prozę, proszę także podać adres.

ZUZANNA K. Warszawa. Pani erotyki są bardzo interesujące, chociaż na mój gust zbyt obsceniczne i dosłowne. Mówienie o miłości nie wymaga chyba krzyku i dosadności, a raczej słów ścisłych, delikatnych, subtelnych. Dlatego wydało mi się, że spod pani wierszy wygląda cynizm, jakiś diaboliczny chichot z tych, co kochają po staroświecku, dyskretnie, trzymają się za ręce i rozmawiają o księżycu. Musi pani tymczasem wiedzieć, że każda miłość jest inna, każda jest dla samej siebie całym światem, całym kosmosem. Dlatego pani ironia jest nie na miejscu. A kiedy to pani zrozumie i nie odejdzie panią chęć pisania, proszę przysłać następną partię wierszy.

AP

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13-14). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 264-30.

Adres redakcji: 20-028 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 265-90, sekretarz redakcji 218-08, dział publikacji i literacki 275-06. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-009, Lublin, skrytka pocztowa 331; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1074. 7.07.88. Z-4.